



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Na wygnaniu czyli Zwycięstwo Wiary i Ofiary : powieść / Kr. Rojówna; tłum. z słowackiego.

Liczba stron oryginału

168

Liczba plików skanów

168

Liczba plików publikacji

169

Sygnatura/numer zespołu

TL I 04860

Data wydania oryginału

[193-?]

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



Fundusze Europejskie
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



Kp.

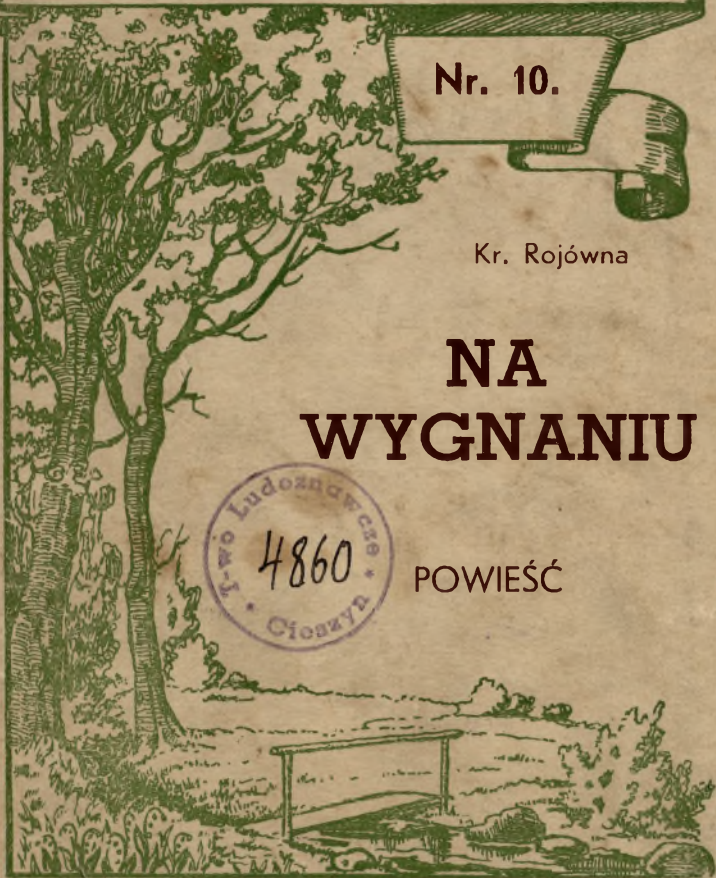
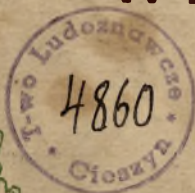
BIBLIOTEKA CHRZEŚCIJAŃSKA

Nr. 10.

Kr. Rojówna

NA WYGNANIU

POWIEŚĆ



261

BIBLIOTEKA CHRZEŚCIJAŃSKA

Nr. 10.

Kr. Rojówna

NA WYGNANIU

czyli

Zwycięstwo Wiary i Ofiary.

Powieść

tłum. z słowackiego.



CIESZYN

Wydawnictwo Biblioteki Chrześcijańskiej

884-3 SL

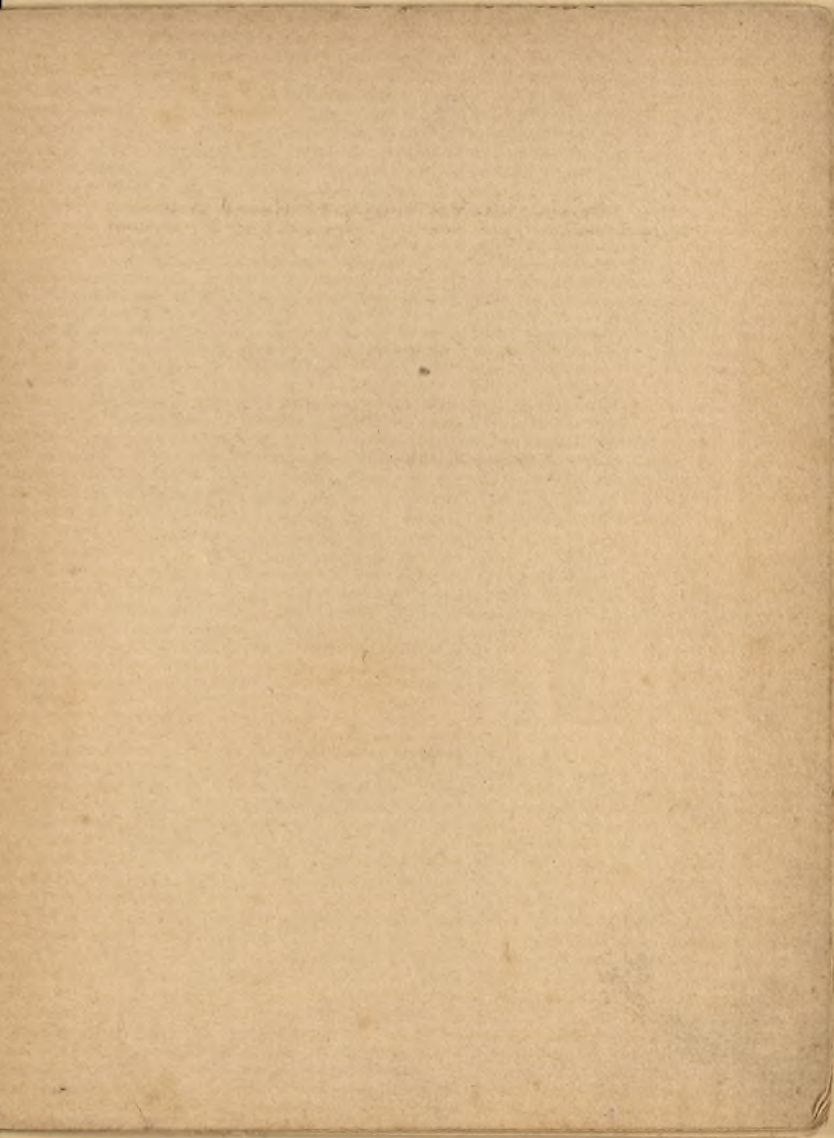
BIBLIOTEKA CHRZEŚCIJAŃSKA.

ADRES WYDAWNICTWA:

Wydawnictwo Biblioteki Chrześcijańskiej
Cieszyn, Skrytka poczt. 85.

Red. i Wyd. K. Sabella





NAKŁADEM
BIBLIOTEKI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

wyszły potąd następujące wydawnictwa:

1. * * * Mali Królewscy Posłowie. Kilka
opow. dla dzieci.
2. A. A. Konwalje. Opowiadanie.
3. J. O.: Zamaskowany Grzech. Opowiadanie.
4. L. M. Przez Krzyż do Korony. Powieść
z czasów reformacji w Szkocji.
5. KS. SEN. K. KULISZ. Królewskie Wesele.
Kazanie.
6. KR. ROJÓWNA. To co wiecznie trwa.
Powieść dla młodzieży.
7. KS. SEN. K. KULISZ. Krzak Gorejący.
Młodzież i Biblia. Dwa wykłady.
8. KS. SEN. K. KULISZ. Jezus Syn człowie-
czy. Wykład.
9. M. STEPHAN. Do Niego i za Nim. Opo-
wiadanie.
10. KR. ROJÓWNA. Na Wygnaniu. Powieść.

Kilka myśli wstępnych.

We łzach, we krwi i w błocie toną i marł świat dawny, i pradawny, we łzach, we krwi i w błocie tonie i mrze i świat dzisiejszy. A choć coraz czystsze, jaśniejsze rozświecał i rozświeca nad nim światło Bóg, to on jednak sam w sobie chmurny, zły, z uporem w coraz gęstsza cofał i cofa i spowija się ciemność, z której luna świeci pożarna, czerwieni się krew, i najgorszy rozłazi się brud. I gdyby nie ów rodzaj Boży, nie owe jasne, annielskie dusz cichych, czystych, dusz pokój czyniących, dusz miłosiernych postacie, które Pan błogosławionemi zowie, które jak światła wśród nocy tu żyją i promieniają i jak samarytanie miłosierni po tem przeogromnem pobjowisku świata tam i sam chodząc, z zaparciem samych siebie dzieło miłosierdzia nad jego poranionemi i umierającemi sprawują; gdyby nie ten nieliczny błogosławiony obóz Pański, ród ten ludzki cały, doprawdy dawnoby się już był w potworną przedstworzenną pogrążył noc i w ogniu i we krwi i w bagnie swem zmarniał, zginął.

Na tle tej i takiej znanej nam i przeżywanej przez nas rzeczywistości opracowane jest — jak już tyle innych — i opowiadanie niniejsze a stworzony jest w niem obraz tej właśnie rzeczy świętej, tych jednostek jasnych, tych synów i córek Bożych, obraz tego, jakto oni występują, jak i z jakim skutkiem którzy z nich działają. Zagłębiwszy się w opowieść, spostrzec można w niej najprzód, jakto ten Zespół Boży sam w sobie na dwa dzieli się zastępy. Jeden z nich złożony z takich, którzy niestety nigdy a nigdy nie mieli tego szczęścia, tej możliwości, by spojrzeć moc w jasne oblicze Jego, tego Zdroju miłości i życia, którzy Boga ni Chrystusa w Jego objawieniu, w Jego Słowie nigdy nie ujrzeni, nie poznali, a którzy choć tacy ubodzy, tacy biedni, przecie posłuszni głosowi Bożemu w ich wnętrzu, w sumieniu się odzywającemu, wstają gdy tego potrzeba, z miejsc swoich, i nie dbając o wygodę własną z tem co mają i znają do usługi, do pracy i trudu na świat ten wychodzą i jak umią i potrafią, tak swe życie w ofierze dla bliźnich swych w ich potrzebie kładą. Zastęp zaś drugi, to owi szczęśliwi, łaską udarowani, którzy w poznanie Boga i Zbawiciela swego i w znajomość Jego Królestwa i życia wiecznego bogaci, z całym tem bogactwem, niby z oliwą i winem, w zbroi wiary, miłości i nadziei żywej, jak ów samarytanin na przeróżne ścieżki świata za jego poranionemi i nawpół zabitemi się rozchodzą.

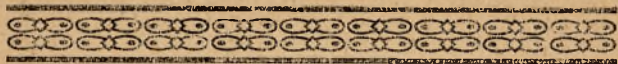
Później, na tym tak wykonanym obrazie, zauważy czytelnik, uwydatniony przede wszystkim ten szczegół, podkreśloną tą prawdę, że jakkolwiek obie te rzesze, oba te zastępy są boskie i święte i oba błogosławione w działaniu swoim, i oba przez Boga uznane i przyjęte, to jednak jak o całe niebiosa niebios szczęśliwszy jest stan i owocniejsze, więcej błogosławione działanie tych drugich, tych, którzy nietylko doczesne lecz i wieczne dobra ubogim swym i potrzebującym przynieść mogą i przynoszą, i nietylko ich ciała ale i dusze ich do zdrowia i życia wiecznotrwałego przywodzą. A to właśnie stanowi myśl główną, przewodnią tutaj podanego opowiadania.

Prócz tej głównej, przewodniej i prócz innych równie ważnych myśli, podkreślona jest jeszcze tutaj i ta prawda, jakto szczerą, żywą wiarą i miłością ofiarną napełniona dusza i wśród tych najgorszych warunków ostać się potrafi i stać się może i staje błogosławieństwem.

Podawając tą drugą pracę znanej nam już autorki do rąk czytelników, czynimy to w tej wierze i w tej nadziei, że jeżeli komu, to przede wszystkim takim szczerym, światła i życia onego rzeczywistego, Bożego, wiecznotrwałego szukającym duszom, tym duszom które mimo wszystko a wszystko iść są gotowe za Barankiem dokądkolwiekby On poszedł, iż takim praca niniejsza przynieść może, i przyniesie zysk wieczny, wzmocni je i wnieść się im po-

może do światła i na wyżyny mocnej, zwyciężkiej wiary pierwwej, zanim nad światem zupełna zapadnie noc, a narody rozgniewane, ze zębami i pazurami na siebie się rzuca i do reszty we łzach we krwi i w błocie się zanurza.

Wydawca.



Nie było Zarzecze dużą, ale zato było ładną, wspaniałemi górami otoczoną wioską. Przepływało przez nią kilka większych i mniejszych potoków, a nad każdym z nich, stał jeden lub więcej młynów. Zdaleka zwozili do nich ludzie zboże, zamawiając sobie równocześnie we wsi różne wyroby z drzewa wozy, meble i t. p. inne.

Kobiety tamtejsze umiały ładnie tkąć, a potrzebnego do tego lnu i konopi, dostarczały im poddostatkiem ich własne łany. Ztąd też gmina nie była ubogą; miała tylko jeden kłopot. Zakupiła sobie swego czasu duży, tak zwany „Górny młyn”, do gminnego użytku. W nijaki jednak sposób nie mogła dostać do niego młynarza. Nie jakoby brak było wody. Owszem, wody było dosyć, tak tylko szumiała potokiem, — lecz straszyło w młynie. Ledwie że się kto do niego wprowadził, usłyszawszy o strachach, natychmiast uciekał.

Ztąd też łatwo sobie wyobrazić, jak się Zarzeczanie ucieszyli, gdy pewnego dnia zjawił

się we wsi człowiek. by młyn kupować a gdy go nareszcie i kupił.

I rzecz ciekawa. W tensam dzień, gdy się do niego sprowadził, wybuchł we wsi ogromny pożar, i gdyby nie rada i pomoc nowego młynarza, pewnie byłoby się połowę wsi spaliło.

W ten też sposób, zaraz od pierwszej chwili obcy ten człowiek, pozyskał sobie serca obywateli wioski. Ponieważ zaś od dłuższego czasu panowała w kraju posucha, i inne młyny z powodu braku wody mleć nie były w stanie, zaś młyn jego był w ruchu, nazwozili mu ludzie tyle m'ewa, że zgołaby sobie z niem rady dać nie był w stanie, pomimo że z sobą przyprowadził czeladnika i oprócz tego, natychmiast po swem przybyciu przyjął jeszcze dwu uczniów.

Czeladnik był ładny, młody mężczyzna, lecz niestety, był niemy, ludzie się z nim nijak rozmówić nie mogli. Jedno jednak zaraz zauważyli, mianowicie że jest człowiekiem niezwykłe uczciwym, i że sobie majstra swego bardzo ceni.

Młynarz liczył już przeszło czterdzieści lat. Krok jego był cichy, równy; z łatwością było można poznać, że służył kiedyś w wojsku. Włosy i zarost nosił jakby jaki oficer, a ubranie jego młynarskie, leżało na jego pięknej, smukłej postaci, jakbyś je ułał.

Nie lubił dużo mówić i stąd też z nikim w długie „szerokie nie wdawał rozmowy.

Słuchać jednak potrafił tak, że każdy lubił i mógł się mu poskarżyć, i swe życzenia i bole mu wynurzyć, a on na wszystko znalazł jakieś dobre słowo, dobrą radę. Komu on zaś co poradził, to była zawsze rada naprawdę dobra. W dokumentach swoich podane miał nazwisko Koszyna. Pewnie mu jednak od młyna pozostać przydomek Zarzecki. Czeladnikowi było na imię Andrzej.

Na dolnym skraju wsi mieszkała starsza już kobieta, wdowa po miejscowym nauczycielu Sommerze. Tą poprosił Koszyna aby mu prowadziła jego domowe gospodarstwo. Dawniej, w młodości swojej służywała w mieście, umiała więc gotować. Dzieci nie miała już koło siebie żadnych. Jedne powychodziły zamąż, względnie pożeniły się, a inne pomarły. Zgodziła się więc chętnie na proponowaną posadę. Tylko to straszycło ją także niepokoilo. Gdy jednakowoż tydzień za tygodniem mijał, i nic nigdzie jej się nie pokazywało, ani słyszeć także nikt nic nie słyszał, uspokoila się kobieta, temwięcej, że jej dobrze było u młynarza.

Tylko to się jej w głowie pomieścić nie mogło, że młynarz z swoim czeladnikiem tak zgodnie, po rodzinnemu żyją, niby ojciec z synem. Mieszkali w jednym pokoju, rozmawiali poufnie z sobą, szkoda tylko, że ona z tego nic a nic zrozumieć nie mogła, bo rozmowa ich działa się na migi, z pomocą różnych, zupełnie jej nie rozumiałych znaków.

Sommerowej bardzo było czeladnika żał. Był z niego niezwykle dobry robotnik. Pracował pilnie, a gdy nie było pracy, to wtedy czasami i całe popołudnia przesiadywał na skałach nad młynem, zapatrzony jużto w wodę, już też w szeroki daleki kraj, albo zaczytany w jakąś książkę. Jaką? — nie wiedziała. Modlitewnik to nie był, tegobys u Koszyny nadaremnie szukał. Czegoś takiego Koszyna nigdy nie używał. Mimo tego kobieta wcale się nań skarżyć nie mogła, żeby z niego był zły człowiek. Złego słowa nikt nigdy od niego nie usłyszał, ani też nigdy nikomu żadnej krzywdy nie wyrządził, owszem zawsze, gdzie tylko mógł i jak mógł pomagał.

Mieli w młynie małą komórkę, tą kazał Sommerowej wyczyścić. Później Andrzej zrobił w niej podłogę i sporządził nieduże okienko. Do tak odnowionego pokoiku wnieśli mały stolik, krzeselko, wstawili łóżko, ustali, przykryli dużą, wojskową kołdrą, i gdy potem zdarzyło się, że przyszedł czasem jaki podróżny na noc, wtenczas tam go umieszczali. Pewnego razu, przeleżał tam jakiś chory żebrak cały jeden tydzień. Andrzej opiekował się nim, zbierał, przyrządzał mu lekarstwa tak, że po tygodniu, gdy biedak znowu powstał i mógł zasię iść dalej, nie mógł znaleźć dosyć słów, by obom dobroczyńcom należycie podziękować.

Ledwie przyszedł do wsi, urządził Koszyna dużą maglownię i ogłosił, że gospodynie

mogą z niej korzystać, a nie muszą z płótnem gdzieś daleko, aż do drugiej wioski wędrować. — I rozumie się, że Zarzeczanki niezmiernie się z tego ucieszyły temwięcej, że nie tylko miały to bliżej, lecz jeszcze w dodatku za mniejszą niż gdzieindziej opłatą.

Pewnego wieczoru, — było to pod jesień — siedzieli majster z czeladnikiem w ogrodzie, i o czymś nader ożywioną prowadzili rozmowę. O czym, to zaraz następnego dnia się pokazało. Gdy bowiem ludzie, jak zwykle, zaczęli się zjeżdżać i schodzić, zatrzymał młynarz kilku z nich na dłuższą chwilę u siebie, i zaczął im tłumaczyć, że ponieważ mają dosyć dużo śliwek i poddostatkiem drzewa, więc on wystawi im suszarnię i będą sobie mogli śliwki posuszyć i przechować, by nie musieli je zaraz w jesieni za bezcen sprzedawać.

Gospodarze zachwyceni byli tym projektem i nadziwić się tylko nie mogli, jak się to stać mogło, że oni sami dawno już na podobną myśl nie przyszli. Zabrali się więc do dzieła, pomogli wybudować suszarnię, poczem sprowadzili kaflarza, który im odpowiedni piec w niej wystawił. Wszystko to poszło tak rażno, że w przeciągu paru tygodni suszarnia była do użytku gotowa.

Po jej wykończeniu, wieśniacy dziękując Koszynie za dobry jego pomysł, wychwalali również jego niezmiernie zdolnego czeladnika, który umiał im wszystko tak dokładnie przy

budowie wymierzyć, jak najlepszy cieśla z pomiędzy nich nie byłby tego w stanie zrobić, a w dodatku jeszcze im i dwie suszнице sam własnoręcznie zrobił i nauczył ich, jak dalsze sami sobie mogą wyrabiać z posiadanego pod dostatkiem materiału.

* * *

Prawie, gdy zbiór śliwek był w pełnym toku, otrzymała Sommerowa od córki swej z Głogowca list. Ponieważ umiała czytać, tylko drukowane, prosiła więc Koszyny żeby jej go przeczytał.

Koszyna wzięwszy list z jej ręki czytał. Córka pisała co następuje:

„Pozdrawiam Was mamusiu po tysiące razy i życzę Wam dobrego zdrowia.

Myśmy wszyscy chwała Bogu zdrowi, tylko mamy wielki kłopot z naszą Hanią. Mateczko moja kochana! Przyszła tutaj do naszej wioski jakaś nowa wiara. Zaczęli się ludzie schodzić, — jak mówią — około Słowa Bożego. Ja coprawda już także tam byłam i muszę przyznać, że oni tam nic złego nie mówili ani nie robili. Tylko to mi się nie podoba, że każdy kto się do nich przyłączy, zaraz zaczyna nad grzechami swemi narzekać a czasem i płakać. Później, ci sami ludzie poczynają opowiadać, że im Pan Jezus grzechy odpuścił. Tego ja nie rozumię i czegoś podobnego o sobie

powiedzieć nie mogę. Jestem przecież od dziecka osobą uczciwą, porządną, jak to sami wiecie.

Ale niechby już tam ci ludzie mówili i robili co chcieli, wcale bym się tem nie przejmowała, — lecz oni nam i naszą Hanię zwiedli, i ojciec z tego powodu się okropnie gniewa. Już ją nawet i dwa razy obił z tego powodu. Lecz to wszystko daremne! Ona nie chce i nie chce odstąpić od tego. Nawet i małżeństwo się jej trafiało, — ale ani myśleć. Ona nie chce — jak mówi — niewierzącego człowieka.

Dlatego proszę Was kochana mateczko, weźcie mi to dziecko choć na pół roku do siebie. Ona w tym czasie o wszystkim tem zapomni. Wy jesteście osobą pobożną, znacie Pismo święte, będziecie jej to mogli prędzej wybić z głowy. My Wam wynagrodzimy co Was będzie kosztowała, zresztą może się Wam w tem czy w owem przydać."

Później następowały jeszcze pozdrowienia dla każdego z osobna i list się kończył.

"Ach to znów nowa bieda! Co Wy na to powiecie panie majstrze? — zawołała rozpaczona kobieta, załamując ręce." „Córka nie wie, że ja jestem u Was i chce mi tę dziewczynę posłać. Co ja grzeszna mam do niej napisać? Hanię od samego dzieciństwa wychowali sobie po pańsku, dużo się od niej spodziewali dlatego, że się w szkole dobrze uczyła, i nawet prze-

różne roboty ręczne zna, których przeciętne dziewczęta wiejskie robić nie potrafią. Teraz co z tego? A ile razy ja im to mawiałam: Nie wychowujcie dziewczęcia tak z pańska, zepsujecie ją, ale nic nie pomogło. — Teraz mają."

"Co ja na to powiem?", rzekł Koszyna, kończąc drugi raz czytanie listu." Otóż ja powiem chyba tyle, że córka i zięć są okropnie niemądry, jeżeli sądzą, że gwałtem, karą dziecko na jakąś inną naprowadzą drogę.

Co raz sobie człowiek w głowie swej i w sercu umyślił, postanowił, tego on tak odrazu w jednej chwili nie porzuci, — mniejsza z tem czy to dobre lub złe. Napiszcie tylko bez wszelkich dalszych korowodów, niech dziewczę przyjeżdża, tem więcej, że zna różne roboty kobiece. Znajdzie tu dosyć szycia, tak dla nas w domu, jak i dla innych ludzi we wsi i będzie miała w ten sposób chleba pod dostatkiem i wyżyje. W dawnem mieszkaniu macie jeszcze jedno łóżko, możecie je sobie obok własnego w swym pokoju postawić, i miejsca będzie tam dla was obu dosyć".

"Panie majstrze z Was jednak jest dobry, złoty człowiek," rzekła, dziękując mu kobieta. „Jeżeli jednak będziemy mieli z nią jakiś kłopot? Jest to wprawdzie moja wnuczka ale, — ale co począć z tą jakąś nową wiarą? Oj to bieda!"

O tą, to już strachu nie miejcie! Pozwolimy jej wierzyć w co i jak będzie chciała.

Jeżeli będzie mogła zapomnieć, — zapomni, jeżeli nie, to świat dosyć jest przestronny, by na nim żyć mogli i tacy ludzie, którzy się nawzajem nie rozumieją. — A z resztą Bóg sam wie najlepiej co jest dobre a co złe.

Napisała więc Sommerowa list, — właściwie sam młynarz go napisał. Pocieszyła córkę, wezwała do siebie wnuczkę, i odtąd jej wyczekiwała. Spać nawet nie mogła z powodu troski nad tem, co pocznie z tem nieudanem dzieckiem.

II.

Było to pewnego cichego, jesiennego popołudnia niedzielnego. Miało się ku wieczorowi. Mgły snuły się po górach i dolinach; szelest spadającego liścia mieszał się z poszumem borów i hukiem potoku górskiego, który płynąc, zataczał krąg dookoła młyna zarzeckiego a potem płynął, wędrując sobie znów dalej i dalej, poprzez pola i łąki w dół ładną wioską.

W karczmie grała muzyka. Tańczyła tam młodzież, ta sama młodzież, która dziś przedpołudniem słuchała w kościele kazania na poważny temat o dniu ostatecznym i śpiewała razem ze zbozem:

„Gdy przyjdzie on ostatni dzień” . .

Lecz kto tam z nich teraz myślał o owym dniu!? Przecie to jeszcze tak daleko, daleko! — a zresztą nikt jeszcze z tamtąd nie przyszedł i nikt twierdzić nie może, że to napewno tak a nie inaczej będzie i kiedy będzie.

Nad jazem, niedaleko młyna, wśród zarosli, na miękim mchu odpoczywał niemy Andrzej i czytał, jak to zresztą miał w zwyczaju. Nagle padł mu na książkę cień i zmusił go spojrzeć w górę. Spojrzał, i długo to trwało, nim wzrok znowu od tego, co zobaczył oderwał.

Tuż niedaleko, na kładce, w kierunku wsi zapatrzona, stała dziewczyna, i to taka, jakiej dotąd w tych okolicach jeszcze nie widział. Nie była ona może tak ładna, jak tamte, które sobie gdzieś we wspomnianej karczmie serca chłopców około palca owijały, lecz ładna jednak była. Była bowiem młoda, zdrowa, a widzieć było można, że jest i odważna. Zaś wyraz twarzy — a to było najważniejsze — miała taki, jakiego tutaj wokoło u nikogo jeszcze nie zauważył. Wyglądała tak, jakby tylko ona jedna jedyna w tej okolicy mogła o sobie powiedzieć: „Owszem, jestem szczęśliwa, i to bardzo szczęśliwa!” Skromne, miejskie suknie były jej do twarzy, mimo, że nie błyszczały różnemi ozdobami, jak suknie tutejszych dziewcząt wiejskich.

Stała wpatrzona w dolinę. Nagle posmutniała jakoś i spjrzała w taki sposób ku niebu,

jakby się tam gdzieś, kogoś chciała o coś zapytać, lub sobie coś ztamtąd wyprosić.

I w tej też dopiero chwili młodzieniec oderwał wzrok swój od jej oblicza. Gdy ona odwróciwszy się, spojrzała w jego stronę tak, że ich spojrzenia spotkały się z sobą.

Pozdrowiła go. Głos jej był miły, tak jak miłym było całe jej zjawisko.

„Przepraszam Pana, czy jest to młyn zarzecki pana Koszyny?”

Rumieniec oblał mu policzki, gdy milcząc skinieniem głowy dawał jej potakującą odpowiedź. Aby zrozumiała, że jest niemy położył sobie palec na ustach i wstrząsnął przecząco głową.

Ona jednak znaku tego niezrozumiała. Czy mam tam nie iść? Jestem Hania Stefanówna, mam tam babcię i idę do nich.”

Młodzieniec wyjął z kieszeni notatnik, napisał na kartce: „Oczekuję Was” i podał jej.

„Czy nie możecie mówić?” Zapytała ze współczuciem dziewczyna. Skinieniem głowy odpowiedział że tak jest.

„Nie smućcie się panie. Pan Jezus wszystko dobrze uczynił. On głuchym słuch a niemym mowę przywrócił, gdy go prosić będziemy. On i Was uzdrowić potrafi i zechce.”

Widocznem było że słowa jej duże na nim wywarły wrażenie. Więcej, nic mu już powiedzieć nie mogła, bo właśnie w tej chwili przed

młynem zjawiła się babcia, pośpieszyła więc wnuczka na jej spotkanie.

Ponieważ staruszka święcie przyrzekła panu Koszynie, że wnuczce nic a nic o jej domniemanej błędnej wierze wspominać nie będzie, owszem że pozwoli jej we wszelkim spokoju przyzwyczać się na obczyźnie, dała jej więc spokój. Dokładnie ją sobie tylko ze wszystkich stron obejrzała, dawno jej już bowiem nie widziała. Nic szczególniejszego u niej nie zauważyła, przekonała się przy tem tylko o jednym, mianowicie że krew, to nie woda, że jej serce jakoś dziwnie się rozgrzało w objęciach młodości.

Załatwiła wnuczka wszystkie pozdrowienia, przyniesione z domu, poczem weszły do młyna. Wchodząc spotkały młynarza, który gościa poważnie, lecz zarazem bardzo uprzejmie powitał.

Ponieważ późno już było, podali jej podwieczerek; podróżowała przecie od wczesnego rana, a miała tylko bardzo, bardzo niewiele we swej torebce.

Takie było przybycie Hani Stefanówny do zarzeckiego młyna i do Zarzecza.

Czy kiedyś, gdy jej stąd odchodzić będzie trzeba, też taksamo nikt, nic o tem wiedzieć nie będzie, tylko te bory i te wody które dziś szumem swoim ją witały?

III.

Taki to jest ten czas, takie te jego dni i tygodnie na tym świecie; podobne są one do wód strumieni. Woda płynie i tylko płynie. „Do morza, do morza!” szemrzą jej fale. Podobnie też do morza wieczności płyną dni i tygodnie; nim się spodziewasz, już jednego z nich niema, pozostaje z niego tylko to, co w nim było wykonane, czy to było dobre lub złe.

Taksamo i w Zarzeczcu. Cztery niedziele upłynęły już od owej, gdy Hania Stefanówna przystanąła na kładce nad jazem. W rozmaity sposób przeżyli je ludzie. Wykopali ziemniaki, poobierali owoce, posprzątała resztę płodów rolnych z pól; obecnie zabierały się kobiety do lnu i konopi zaś mężczyźni, rozpoczynali zwózkę drzewa opałowego z lasu. Każdy miał pracy pełne ręce.

Także i u Koszyny mieli jej poddostatkiem, tylko że szła im ona jakoś tak rażno, jak jeszcze nigdy potąd. Z łatwością było można zauważyć, że przybyło tutaj dwoje młodych, zdrowych i pilnych rąk.

Nadziwić się nie mogła babcia Sommerowa córce, co ona tylko mogła mieć przeciwko temu dziecku. Przecież ono było jak ta sarenka żywe i wesołe. Wszystko cokolwiek robiła, było dobre. Le się rano i wieczorem modliła i że sobie przytem zawsze z Pisma św. coś przeczytała, to przecież nic nikomu nie szkodziło i szkodzić nie mogło.

Przekonywała się staruszka coraz więcej, że ona wcale niema swej wnuczki czego uczyć. Przecie ona sama czytywała jej w Piśmie św. i tak dobrze rozumiała to, co czytała, że rozkoszą było jej się przysłuchiwać.

Dotrzymała Sommerowa danego Koszynie przyrzeczenia, i nie wspominała nic nigdy wnuczce o jej nowej wierze. Wszak ona i tak o niej zapomni, gdy nikogo nie będzie widziała ani słyszała, ktoby jej to przypominał."

Chociaż Hania do żadnej pracy nie dała się prosić, to jednak najlepiej odpowiadała jej igła. Poszyła w domu wszystko, czego tylko gdzie komu było potrzeba. Koszyna wypożyczył jej od pani Kohnowej maszyny do szycia, która chętnie mu takowej wypożyczyła, sama bowiem z powodu choroby niewiele jej używała, a w ten sposób, mogła się wyzbyć długu, który miała u niego.

Mężczyźni o dziewczynę niewiele się troszczyli. Koszyna mówił mało a Andrzej wcale nic. Żyli z sobą w najlepszej zgodzie. Gdy ona tu i tam coś do nich się odezwała, odpowiadali jej uprzejmie. Co dla babci było ogromnie trudem, mianowicie porozumiewanie się z Andrzejem na migi, to Hania potrafiła z największą łatwością.

Ostatnie resztki liścia już poopadały, w ogrodach, po górach, w całej przyrodzie zapa-

nował jakiś smutny nastrój, podobny jak w sercu, którego nikt nie cieszy gdy mu wszyscy pomarli. Pewnego dnia, kroczyli górami sami we dwoje pan Koszyna i Hania Stefanówna.

Wracali właśnie z pogrzebu z sąsiedniej wioski. Zmarł tam młynarz, był więc Koszyna na jego pogrzebie, a ponieważ babcię bolała noga, posłała więc za siebie wnuczkę.

Kroczyli obok siebie milcząc. Przed chwilą mówili o opuszczonej rodzinie zmarłego. Idąc, nie zauważyła w myślach pogrążona dziewczyna, że poważny wzrok młynarza już od sporej chwili na nią jest zwrócony, że patrzy się na nią w taki sposób, jakby zajrzeć chciał jej aż na same dno duszy.

„Haniu, słuchaj! Powiedz mi jakież ty odniosła wrażenie z całego tego pogrzebu?” odezwał się wreszcie młynarz, a głos jego poważny, dźwięczny, zbudził dziewczynę z zadumy. Podniosła ku niemu swe modre, zalzawione oczy.

— „Panie Koszyna co ja mam tutaj powiedzieć?”

Wrażenie jakie odniosłam było takie: że jest to doprawdy straszne, musieć umierać bez Chrystusa, bez odpuszczenia grzechów, że jest to okropne, niepojednany ni z Bogiem ni z ludźmi odchodzić na święty sąd Boży.”

„Tak ty myślisz? A czy wiesz, że Ligocki w takim właśnie stanie umarł? Czy sądzisz

Haniu że to wolno tak surowo osądzać człowieka, któregoś może ani nie znała?"

„Owszem, znałam Ligockiego." rzekła na swe usprawiedliwienie dziewczyna. „Jeździł po jarmarkach, był okropnym pijanicą i strasznym bluźniercą, strach było słuchać jego przekleństw. Zmarł nagle na udar serca, niepojednał się nawet ze swoim własnym bratem i taki jaki był zły za życia, taki zły poszedł przed Boże oblicze."

„To co innego. Wcale nie wiedziałem żeś go tak dobrze znała. W takim razie jakież było to uczucie któreś miała, słuchając mowy pogrzebowej?"

„Czy mam Wam to powiedzieć, panie Koszyna?" spytała a rumieniec oblał jej lica.

— „Właśnie o to mi chodzi."

— „Panie Koszyna a czy i Wy powiecie mi później, jakieście Wy odnieśli wrażenie?"

— „Hm, może i powiem" rzekł z uśmiechem Koszyna. — „A więc ja miałam to uczucie, że Boże Słowo czytać a potem takie kłamstwa mówić — i to jeszcze nad trumną, nad grobem — jest jednak ciężką obrazą Boga i miałam wrażenie, że pogrzeb ten był jedną straszną komedią."

— „Oj, oj, dziecko co Ty mówisz!" zawołał młynarz a w głosie i w wyrazie jego twarzy, czytać było można, że słowa Hani były dla niego przyjemną niespodzianką.

— „Panie Koszyna nie pogniewajcie się, że w taki odzywam się sposób, ale czy tak nie było? Wdowa narzekała, płakała, co wyglądało jakby obaj byli ze sobą w najlepszej zgodzie, żyli, a przecie zwady i bijatyki były tam stale na porządku dziennym. Zszedł się tłum ludzi, powiedziano że to dla uczczenia zmarłego, tymczasem nikt, najmniejszego szacunku dla niego nie czuł. Pomimo że znali go wszyscy kim był, jakie życie prowadził to przecie śpiewali mu pieśń:

Bój dobry bojowałem
Do mego skończenia,
Swą wiarę zachowałem
I pokój sumienia.

— „Owszem, owszem, masz zupełnie słuszną. Doprawdy, że była to komedja i to komedja straszliwa. Ale czy było to tylko tam? Przecież cały świat przepelniony jest podobnemi historjami. Przecie zgoła że wszyscy i wszędzie grają taką jedną okropną komedję." Przy tych słowach cień smutku przestonił oblicze mówiącego.

— „Właśnie dlatego też prawdę mówi Pismo św. „Wszelki człowiek kłamca." dodała teraz nawpół do siebie dziewczyna. „I ja to odczuwam gdy wspomnę na swe lata minione, gdym i ja nie lepszemi chodziła drogami."

— „I teraz jesteś już lepszą, doskonałą?" zapytał młynarz, spoglądając przytem poważnie w oblicze dziewczyny.

— „Dobną, doskonałą wcale nie jestem, lecz od chwili, gdy w życiu mojem spotkało mnie to szczęście że się z Nim, z Chrystusem Panem spotkałam, od tej chwili staram się jak mogę, żeby iść krok w krok za Nim i stawać się Jemu podobną.”

— „Tyś z Chrystusem Panem się spotkała?”

— „Tak, przeżyłam taką chwilę w której poznałam, że On, Pan Jezus jest moim Zbawicielem, że On grzech mój na ciele swem zaniósł na drzewo krzyża i z Bogiem Ojcem mnie pojednał, pojednał na wieki.”

Cisza zapanowała w górach. W milczeniu kroczyli obok siebie, poważny, jak widać wielkie doświadczenie za sobą mający młynarz i młoda, co dopiero w życie wstępująca dziewczyna.

— „I co to masz za książkę, którą codziennie tak regularnie czytasz? zapytał po dłuższej chwili młynarz.

— „Biblię.”

— „A innych książek nie masz?”

„Owszem, miałam, lecz wszystkie mi spaliły.”

— „Ja mam dosyć dużo różnych dobrych, możesz sobie wybrać, które ci się będą podobały. Przynajmniej będziemy sobie mogli o tem lub owem ze sobą od czasu do czasu pomówić. Bo choć masz inne niż ja poglądy, to jednak jak widzę, posiadamy coś wspólnego:

mianowicie jeden cel życia. Zauważyłem bowiem, że chcesz służyć Bogu w ludziach, a ja również tego samego pragnę — a zresztą innej Bożej służby niema."

— „Owszem że niema. Chrystus Pan powiedział o sobie: „Syn człowieczy nie przyszedł, aby Mu służono, lecz aby On służył.” Jabym też tak chętnie stała się Jemu podobną, również chciałabym służyć jak On służył, tylko że niewiele mam do tego sposobności."

— „Jeżeli chcesz coś więcej zrobić, a ja ci wierzę, że naprawdę chcesz, to tam za potokiem w walącej się już chatce, leży uboga chora kobieta, wdowa, wcale nie gorsza od innych. Spróbuj zajść do niej, uściel jej łóżko i powiedz babci, żeby jej ugotowała jedzenie razem z naszym, albo sama ugotuj to, co zauważysz żeby chętnie zjadła i zanieś jej."

— „Dobrze, panie Koszyna, a czy mogę pójść i zrobić to zaraz?"

— „Owszem, owszem, jeżeli tylko masz ochotę, to zaraz. I tu w tym wypadku dobrze można użyć słowa Chrystusowego: „Co czynisz, czyń rychło!” Pierwej jednak, nim tam odejdziesz i zaczniesz swą pracę, powiedziec ci muszę kim jest ta kobieta. Nie jest to jakaś idealna istota. Jest to dawniejsza kochanka wielu mężczyzn, mężczyzn którzy do dziś dnia wśród swego otoczenia za uczciwych uważani bywają.

Kiedyś była ona takim samym niewinnem, jak ty dziś dziewczęciem, niestety w chwili

gdy pierwsza na nią pokusa natarła, ona oprzeć się jej nie potrafiła, upadła i stała się powoli tem, czem dzisiaj jest, czem ją właściwie zrobili inni, mianowicie ci, którzy ją wniwecz obrócili. Oni zgoda że wszyscy dziś mają swe ogniska domowe, swe żony i dzieci, a ona? Ona jest samotna, opuszczona, ba gorzej, — ona jest najzwyczajszym wyrzutkiem społeczeństwa. Gdy tam przyjdiesz, to się nie spodziewaj, nie oczekuj, że cię ona z otwartemi przyjmie ramionami. Serce człowieka, gdy jedno uderzenie po drugim na nie spada, staje się zwolna, jak ot ten kamień na drodze twarde. To będzie mniej więcej wszystko, co chciałem ci pierwej, nim się tam wybierzesz powiedzieć."

Dziewczyna chwileczkę pozostała stać, pogrążona w myślach nad tem, co słyszała.

— „I cóż, teraz, to już chyba nie pójdziesz?“ zagadnął ją młynarz a lekka chmurka zjawiła się na jego czole.

— „Dlaczegobym miała nie iść? Owszem, pójdę, i właśnie teraz tem więcej. Rozumie się że w pierwszej chwili przelęknąłem się tego zadania, które mi Bóg przez Was wskazuje, lecz owszem że pójdę. Pewnie, Bóg niebieski powołał do życia tą siostrę naszą jak nas wszystkich i taksamo jak z nas, i z niej chce mieć swe wyobrazenie, niestety ludzie źli i szatan z nimi ten obraz Jego w niej zepsuli, zbrudzili. Sądzę, że Pan Jezus posyła mnie teraz przez Was, abym ten brud z tego obrazu Jego zmyła.

Wierzę, a Wy taksamo razem ze mną wierzcie że się to uda. Tak długo we wszelkiej miłości i poświęceniu będę jej służyła, aż wreszcie z Bożą pomocą miłość ta, lód w jej sercu roztopi."

Dawno już znikła dziewczyna gdzieś w gęstwinie za potokiem, a młynarz ciągle jeszcze stał na temsamem miejscu, na którym go pozostawiła i dumiał. Utkwiły mu w myślach poważne jej słowa: „Pójdę i spróbuję otrzeć brud z Jego obrazu."

— „Tak, jak gdyby to było możliwe" — rzekł po dłuższej chwili myślenia do siebie. „Jeżeli człowiek raz swe życie źle przeżył, wtedy nic się już nieda cofnąć i nic nieda się naprawić." Na myśl tą cień smutku przesłonił jego oblicze. Wzruszył ramionami i rychłym krokiem ruszył ku domowi.

W tym samym czasie, gdy młynarz drzwi w młynie za sobą zamykał, pukała już raz trzeci Hania Stefanówna do drzwi nawpół rozwalonej chatki pod lasem. Gdy nikt się jednak nie odzywał, weszła wreszcie do wnętrza.

Jeżeli już z zewnątrz lichej lepianki spozierała na człowieka nędza, to cóż dopiero wewnątrz! Tam było jej tyle, że nie było można powstrzymać się od łez. W okropnie zabrudzonych, już może rok cały niepranych pierzynach na załamanem łożku, leżała skurczona postać niewieścia, nad którą z niskiej, od dy mu poczerniałej powały zwisały grubą warstwą

prochu pokryte pajęczyny. Jedyne, prawdziwe dobrodziejstwo stanowiła tutaj stłuczona szyba, którą prawdopodobnie wiatr rozłukił, a przez którą choć trochę świeżego powietrza napływać mogło od tej dusznej, wilgotnej, odorem choroby napełnionej nory. Na inną bowiem nazwę, nędzna ta ruina nie zasługiwała. Bez podłogi, ściany opróchniałe, dziurawe — prawdziwa nora.

Przystanęła chwilkę dziewczyna. Widać było jak oddech powstrzymał się w jej piersi. Nim nieco oprzytomniała, poruszyła się i podniosła kupa brudnych, na łożu spoczywających szmat, a zśród nich, dwoje czarnych, głęboko w zabrudzonej twarzy tkwiących oczu, gniewnem, pytającym spojrzeniem poczęło mierzyć dziewczynę.

„Kto tu chodzi i czego tu ktoś szuka?” ozwał się ochrypły, o chorem gardle świadczący nieprzyjemny głos.

— „Przyszłam Was odwiedzić i pomóc Wam w czem można i jak można,” skromnie i uprzejmie odpowiedziała dziewczyna.

— „Mnie pomóc? Nie potrzebuję. Ja już tutaj sama, bez czyjejkolwiek pomocy zgnić potrafię i nie chcę koło siebie nikogo.”

— „Tak, ale co powiedziałby na to Pan, który tak mnie jak i Was szczerze miłuje?”

— „Jaki Pan? Kto mnie miłuje?” krzyknęła rozgniewana, chora kobieta.

— „Boży Syn, nasz Pan Jezus Chrystus.”
odparła spokojnie Hania.

Po takiej odpowiedzi, czarne oczy utkwiły w uprzejmej twarzy dziewczęcia.

— „Nie gniewajcie się proszę na mnie,” —
ciągnęło dziewczę dalej — „wszakem ja Wam
nigdy żadnej krzywdy nie zrobiła. Jestem tutaj
obca, mieszkam w młynie zarzeckim, coś od
czternastu dni. Gdybym wcześniej była wiedzia-
ła że chorujecie, chętniebym była przyszła prę-
dzej, lecz szkoda, dowiedziałam się dopiero
dziś.”

Chora milczała.

— „Wy pewno dawno już chorujecie? O! jak
niewygodnie się Wam tu leży. Może pozwolicie
że Wam najprzód pościel choć trochę popra-
wię.” rozpoczęła znów po małej chwili dziew-
czyzna, gdy się trochę rozejrzała wokoło. Na-
prawdę nie wiedziała, gdzie rozpocząć i czego-
by się podjąć najprzód.

— „Eh dajcie spokój! Co się tam będzie-
cie zemną brudzić? odparła chora mrukliwie
jeszcze, lecz już trochę spokojniej.

I długo to trwało i długiego kosztowało
przekonywania i prośb, nim wreszcie słaba z
wielkim trudem opuściła łóżko i usiadła na o-
bok stojącej, również rozłamanej ławce, i pozwo-
liła dziewczynie poprawić pościel, ile się ją w
tej chwili poprawić dało.

Niebyleżaki to był wysiłek. Tylko spojrze-
nie na cierniem ukoronowaną postać Zbawiciela

mogło dodać jej siły, do wykończenia tej pracy. Zdawało się przy tem biednej dziewczynie, że żołądek nawspak się w niej obraca i pot występował jej na czoło.

Nareszcie łóżko było gotowe, gotowe o tyle, o ile można było nawpół zgniłą słomę, i wskutek wilgoci w kłębki pozwijane pierze, jako tako usłać.

Chora bez słowa podziękowania rzuciła się na posłanie, a dziewczę odeszło, by przygotować jej jeszcze jakieś jedzenie. Ponieważ zwrócona do ściany kobieta i tak na nią nie zważała, odeszła bez pozdrowienia.

Gdy w godzinę później wróciła znów do chorej z garnuszkim smacznej, ciepłej polewki, nie musiała jej już namawiać, ta chciwie zjadła przyniesioną strawę i bez oporu pozwoliła sobie już w jednym lub drugim usłużyć.

Mimo to jednak jeszcze, gdy jej ta dobrowolna siostra miłosierdzia odchodząc na pożegnanie rękę podała, udała, że jej wcale nie widzi i ani słówkiem jej nie podziękowała. Przypomniało się wtenczas dziewczynie słowo Koszyny: „Gdy na serce człowieka jedno uderzenie za drugim pada, stanie się ono wtenczas jak ten kamień twarde.” W kilka minutach znalazła się na kładce nad jazem, gdzie przystanąwszy chwileczkę pogrążyła się w myślach.

„A więc jakże się powiodło?” ozwał się naraz ktoś obok niej. Był to Koszyna, który

właśnie także wracał ze wsi do domu, razem z Andrzejem.

— „Powiedzieliście panie Koszyna żebym poszła do owej chorej a łóżko jej usłała i trochę jedzenia zaniósła, ale panie, tam taka pomoc stanowczo nie wystarczy. Tam trzeba więcej, daleko więcej.” I rozpoczęła mu opowiadać w jakim stanie się nietylko pościel lecz całe mieszkanie tej nieszczęśliwej kobiety znajduje: „Ona tam naprawdę — tak jak mówi — zgnije za życia.”

„Trzeba łóżko oczyścić, słomę zmienić, pierzyny wyprać” radził na miłą Andrzej.

„Owszem, masz słuszność. Gdyby się kobieta zgodziła, najlepiej byłoby ją wziąć do nas, do naszej komórki, do czasu, nim jej mieszkanie do jakiego takiego dałoby się doprowadzić porządku. Ale to będzie trudno, dlatego, że ona nie będzie chciała iść” rzekł młynarz. „Najprzód musi Hania pozyskać sobie jej zaufanie i miłość a potem, to już jakoś się uda.”

— „Pan Jezus mi napewno pomoże.” zawołała uradowana dziewczyna. „Panie Koszyna jesteście rzeczywiście dobrym człowiekiem, że chcecie mi pomóc.”

Lecz klóz opisze zdziwienie i niechęć babki Sommerowej gdy się dowiedziała, o co się rozchodzi! — „Taką okrzyczaną kobietę weźmiecie sobie pod dach!?” rzekła wzburzona do młynarza. „Żony nie macie, Andrzej tu jest — chy-

ba że chcecie dać ludziom powód do najniedorzeczniejszych plotek."

— „Ależ dajcie spokój pani Sommerowa!" rzekł z uśmiechem młynarz. — Urządzimy sprawę w ten sposób, że mało kto będzie wiedział, kogo tutaj mamy. Zresztą kobieta jest chora i chora znowu wróci do swej chaty, a świat zresztą nie jest przecie znów tak podły żeby miał nas z tego powodu mieć w podejrzeniu. A choćby nawet i tak było, to dla dobrego uczynku warto znieść trochę cierpienia.

Po takim oświadczeniu, cóż miała począć staruszka,? — musiała się zgodzić. Najwięcej ją jednak gniewało, że ta — zdaniem jej, — niepoczciwa kobieta jeszcze nawet prosić się pozwoliła, i że długo ją trzeba było namawiać, nim sobie ofiarowane dobrodziejstwo przyjęła.

Po pięciu dniach przywieźli ją nareszcie do młyna. Ułożyli ją w komórcie, Hania przygotowała wody, wykąpała, uczesała chorą, ubrała w czyste suknie których miała jeszcze pod dostatkiem w szafie, tak, że gdy wreszcie po ukończonej całej tej pracy popatrzyła na nią czystą w czystym pokoiku leżącą, aż się zdziwiła, jaka to była ładna i jeszcze młoda bo dopiero coś lat trzydzieści licząca kobieta. Bujne, jak węgiel czarne włosy okalały jej blade, zapadłe policzki. Tylko że niestety ani te czarne, tak smutno i ponuro w świat ten zapatrzone oczy, ani te mocno zaciśnięte wargi ni-

jak nie chciały wyrazić ni trochę wdzięczności, podzięką za przyniesioną jej pomoc i ulżenie.

Gdy w pokoiku jej zjawił się młynarz, by ją u siebie powitać, ponieważ podczas jego nieobecności ją przywieziono, zdziwił się po prostu nad tą zmianą.

„Oj Ziemiańska, Ziemiańska nie patrzcie się na nas tak chmurno!” rzekł uprzejmie. „Jeżeli chodzi o mnie, to ja pragnę tylko dobra Waszego. Skoro tylko chatkę Waszą do lepszego stanu doprowadzimy, żeby jako tako wyglądała, to Was tam znowu z powrotem do niej odwieziemy.

— „I dlaczegoście mnie tam w spokoju nie pozostawili? Co Was to obchodzić mogło w jaki sposób ja tam zdechnę?”

— „Ależ proszę Was, nie mówcie tak. Zdycha tylko bydlę, a Wyście człowiekiem a nie bydłem!” odezwała się Hania „Człowiekiem jesteście, macie duszę nieśmiertelną która, jak wierzymy, stanąć ma kiedyś przed Bogiem.”

— „Musieliśmy się o Was postarać” dodał młynarz. Wszyscy ludzie na ziemi z jednej są gliny stworzeni, jednego mają Ojca, Boga, a więc i Wy do jednej razem z nami należyście rodziny.”

Po tych słowach, chora więcej się już nie odezwała, utkwiała tylko wzrok w Koszynie, który zabrał się do wyjścia a gdy wyszedł, ukryła głowę swą w poduszkach.

Tak więc teraz nieszczęśliwą kobietą wszyscy zaczęli się zajmować. Jedna tylko babcia, mimo że ugotowała wszystko, czego dla niej chcieli, nie mogła się zdobyć na to, żeby pójść choćby popatrzeć się na nią. Owszem jeszcze gniewała się, że wnuczka zamiast w domu pozostać, chodzi gdzieś, do jakiejś tam obcej chałupy, i to jeszcze do takiej, którą każdy na sto kroków zdaleka obchodzi. A gdyby jeszcze w dodatku była wiedziała, jaką tam ona pracę wykonuje, dopieroby się była zdziwiła, czego się to dziewczę podjęło.

„Wszystko już tam jakoś uporządkuję, tylko z tą podłogą, z tem nic zrobić nie potrafię. Tam cała fura ziemi nie wystarczy by wszystkie te niemożliwe dziury wyrównać.” rzekła dnia pewnego do Koszyny i Andrzeja.

Prawie całe dwa dni zajęta była czyszczeniem pierza, przesypywaniem pierzyn, a dobrze, że jej przynajmniej przy tem ciepłe świeciło słończko.

Wszystko to robiła w młynie. Kiedy na trzeci dzień przyszła znów do chatki, jakże się zdziwiła, gdy wszystko na oścież zastała otwarte, a więcej. jeszcze, gdy zobaczyła że okna zasklone, drzwi naprawione i wszystko na nowo farbą natarte, pomalowane.

Szybko weszła do wnętrza i tu nową miłą zaskoczona została niespodzianką. Tuż u progu klęczał Andrzej, kończąc naprawę podłogi. Wprawdzie nie była ona zrobiona z desek no-

wych, lecz chociaż ze starych, to przecie wyglądała tak, jakby z zupełnie nowych była zrobiona.

„Ależ panie Jędrus! kiedyście Wy to zrobili?” zawołała radośnie Hania. Izdebka z świeżo obielonemi ścianami, które tyle dały jej pracy, teraz dopiero wyglądała ładna i nawet dużo większa. Najładniejszy zaś był w niej od pilnej pracy rozgrzany młodzian, z swym rzadkiem, ale teraz tem ładniejszym uśmiechem, jaki zaigrał koło jego ust. Dziewczynie przeszło przez myśl, gdy się teraz na niego popatrzyła, że i w jego postaci, taksamo jak i u Koszyny jest coś pańskiego. Już same ręce to zdradzały, za małe były na zwykłego robotnika. Cała zresztą postać, miała rzeczywiście wojskowy wygląd. Za tem wysokiem, ładnie sklepionem czołem, — pomyślała sobie — pewnie dużo wielkich kryć się musi myśli.

Potąd niewiele z sobą rozmawiali, teraz jednak w swój sposób, na migi, wdali się w dłuższą rozmowę. On wychwalał pana Koszynę, że był tak ofiarny i dał wszystko, czego było potrzeba do naprawy zrujnowanej chatki, nawet i piec w niej przebudował. Rozmawiając kończył swą pracę, ona zaś myła drzwi, okna i trochę pozostałych mebli, które świadczyły że ich właścicielka lepsze miała poza sobą czasy.

Szczęściem było, że chatka stała dosyć daleko od drogi, nikt więc nie przeszkadzał

młodym ludziom w ich dziele miłosierdzia, które tutaj wykonywali.

Któż ale opisze zdumione spojrzenie dwu wielkich, czarnych oczu chorej kobiety, gdy po dwu tygodniach przewieziono ją znowu z powrotem, i gdy znalazła chatkę odnowioną.

Od wozu aż do pokoju potrafiła iść już o własnych siłach; tyle ich przybyło biedaczce z dobrego wikt, jaki otrzymywała u p. Koszyny.

Doszedłszy do drzwi, chwileczkę przystała. W piecu palił się wesoło ogień, na stole czystym obrusem nakrytym, leżało kilka książek oraz bochenek chleba. Na ścianach rozwieszonych było kilka obrazów i wyroków biblijnych, w półce znajdowało się kilkanaście gustownie ustawionych garnuszków, zaś pod oknem stało czystą pościelą wysoko usłane łóżko. Nogi chorej stąpały już teraz nie po zwykłej udeptanej glinie, lecz po ładnie z desek sporządzonej podłodze. Biednej tej istocie wyglądało to wszystko więcej na sen przyjemny, aniżeli na rzeczywistość.

W milczeniu pozwoliła się zaprowadzić dziewczynie, która taką ją otaczała miłością, aż ku najbliższej ławce, na której usiadłszy, gorzko zaczęła płakać.

„Daj spokój, zostaw ją! — poważnym głosem rzekł Koszyna do Hani. — „Od lez tych serce zmięknie. Ty zostań tu jeszcze, ja tymczasem odejdę.” W chwili gdy już zabierał do wyjścia,

podniosła kobieta głowę, i wyciągnawszy za odchodzącym rękę, zawołała z cicha: „Panie Koszyna, proszę Was zostańcie chwileczkę, jeszcze Wam za wszystko to ani nie podziękowała.”

Odwrócił się Koszyna a podawając jej rękę, rzekł uprzejmie: „Ależ to nic tak wielkiego. Chętnie zrobiliśmy to, co na razie zrobić się dało. Połóżcie się tylko spokojnie do łóżka, Hania tymczasem przygotowuje Wam podwieczorek. Z Bogiem.”

Po tych słowach wyszedł. Znalazłszy się na drodze, począł nad wszystkiemi tem głębiej się u siebie zastanawiać:

„Owszem z zewnątrz niej” — mówił sam do siebie — „brud ten ta niezwykła dziewczyna otarła, i to tak sumiennie, jak sobie tego nawet nigdy nie wyobrażałem. W ten sposób my zrobiliśmy co nam zrobić było możliwem, — lecz co teraz? Kobieta wcale nie wygląda żeby miała umrzeć, jeżeli zaś wyzdrowieje trochę tylko, nie zupełnie, — co potem? Jest jeszcze młoda. Czy pójdzie dalej tą samą znowu drogą, po której kiedyś chodziła a po której bieda i choroba chwilowo chodzić jej nie pozwoliły? Możliwe że dopomogliśmy jej znów tylko do dalszego złego życia, bo przecie po takiej przeszłości, jaką ona ma za sobą, zgoła że niema już dla niej żadnej możliwości innego, lepszego życia. Prawda, że wystarczy poprzestać złego, a czynić dobrze, lecz cóż z tego, jeżeli w niej

nie będzie już żadnej siły moralnej. Ona nie potrafi już poprzestać złego i nie będzie miała siły aby czynić dobrze. Wiem o tem z własnego doświadczenia, wiem ile mnie kosztuje wysiłku życie, jakie prowadzę od chwili, gdy postanowiłem i nauczyłem się panować nad sobą. Tacy ludzie jak ona, nie są już zdolni aby pomóc samym sobie. Czasem człowiek stanie się podobny do kamienia drogiego, który przypadkowo upadł w błoto. Tu w tym wypadku Hania kamień ten kosztowny z błota wydobyła. Ktoby sobie był pomyślał że taką w niej uzyskamy pomoc. W tej dziewczynie doprawdy wielkie ukryte są myśli i cudowne w niej drzemią siły." Takie mniejwięcej były rozważania, które napępniały umysł młynarza, gdy zdążał ku domowi.

Z chatki tymczasem — gdyby był ktoś podsłuchwał, — dosłyszeć było można gorzkiem łkaniem przerywane słowa:

„Pocoście mnie ratowali? Czułam wtenczas po sobie, że już rychło skończę, a teraz, — teraz wydaje mi się, że wrócę do zdrowia. Powiedzcie mi jednak poco ja mam żyć, taka opuszczona, sama, samiuteńka w świecie?"

„Ależ przecie nie jesteście ani opuszczeni, ani samotni. My jesteśmy koło Was, kochamy Was; a choćby już nikt inny Was nie lubił, to ja Was lubię, możecie być pewni i wierzyć temu."

— „Wy mnie kochacie? A czy Wy wiecie co ja jestem za stworzenie? Wy jesteście

niewinnem jeszcze dzieckiem, Was nikt jeszcze nie okłamał, nie zwiódł tak, jak mnie okłamał i zwiódł ten, któremu ja uwierzyłam tak, jak Wy Bogu samemu wierzycie. Byłam jeszcze młodą dziewczęciem gdy mnie zmusili wyjść za niego. Później, okazało się że był z niego pijak nałogowy i jak każdy pijak potrzebował pieniędzy, gdy ich nie miał, to co robił? — Widząc że jestem ładna, zmuszał mnie bym zwodziła innych, i w ten sposób dostarczała mu pieniędzy. I cóż ja biedna miałam z tego? — Cierpienia, hańbę tylko i nic więcej. A później? Później cóż było? Później to ludzie poczęli sobie opowiadać, że męża zdradzam. Nikt jednak nie badał tego, jak naprawdę sprawa ta się miała, nikt nie baczył na to, ile to razy ja na kolanach go prosiłam, żeby mi pozwolił żyć z sobą, jak inne uczciwe kobiety z mężami swojemi żyją. Wszystkie moje błagania były daremne, a jedyną odpowiedzią było bicie i ustawiczne bicie. Wreszcie z wszystkiego tego się rozchorowałam, a on w międzyczasie z pijaństwa umarł! Po jego śmierci coż znowu było? Znowu poczęli mnie ludzie obrabiać i wygadywać, że to ja byłam przyczyną jego śmierci, że moja niewierność zaprowadziła go do grobu.

Mężczyźni? Ci, gdy już wreszcie nic z dawnej piękności mojej na mnie nie widzieli, również wszyscy się odemnie odwrócili i nawet wstydzili się mnie pozdrowić, gdy się przy-

padkowo gdzieś ze mną spotkali. Kobiety przeklinały mnie, a chociaż już całe długie miesiące chorowałam i wreszcie już się ani poruszyć nie byłam w stanie, ani jedna z nich nie przyszła, żeby mi choć wody podać i spytać się mnie: Żyjesz czy nieżyjesz? — tak długo, aż Wyście u mnie się zjawili i staliście się dla mnie Bożym aniołem, za co niech Bóg święty, któremu służycie, hojnie Wam wynagrodzi. Dla mnie jednak, dla mnie lepiej było, żebyście mnie byli losowi mojemu tu pozostawili, abym była zmarła, zginęła. Bo cóż mam dziś? Dziś mam nowy dalszy ból. Gdy bowiem ot teraz na Was patrzę, to jakże mi żal, ach nieskończenie żal, żem i ja nie mogła być taką, że nie śmiałam być dobrą i czystą, że zrobili mnie tem, czem jestem dzisiaj."

Tak to zwykle bywa, że czasem chce człowiek jakiś choćby nieznaczny uczynek miłosierdzia wykonać, a gdy się go podejmie, to tak mu się w rękach rozrośnie, że nie wie potem gdzie i jak go skończyć.

Praca Hani Stefanówny również nie skończyła się na tem, co potąd wykonała dla tej biednej, przez ludzkie społeczeństwo wyrzuconej siostry. Nie przychodziła ona już teraz do niej dwa razy dziennie po to tylko, by jej łóżko usłać i obsłużyć ją, teraz zabierała z sobą swą drogą księgę ksiąg, i z niej czytała chorej, która już zwolna do zdrowia wracała. Czytała jej te ustępy, o których sądziła, że ich może

chętnie słuchać będzie n. p. o niewieście grzesz-
nicy, której Chrystus grzech odpuścił, o trę-
dowatym który z trądu owego został oczysz-
czony i t. p. inne, których ona naprawdę z za-
jęciem słuchała.

Nie chciała się zgodzić Ziemiańska na dal-
sze przysyłanie pożywienia z młyna. Miała
owych kilkadziesiąt złotych, które sobie swego
czasu na pogrzeb odłożyła, te wzięła i popro-
siła Hanię, żeby za nie zakupiła jej potrzebną
żywność. Ugotować potrafiła już sobie sama.

Niema nic tak skrytego, o czemby się
prędzej czy później dowiedzieć nie miano. Nieraz
w taki sposób w jaki się tego człowiek najmniej
spodzieje, rozszerzy się dobre lub złe.

Gdzieś przy jakiejś sposobności, opowie-
dzieli terminatorowie żydówce we wsi o tem, co
młoda ciocia robi, o reszcie dowiedziała się ona
w inny znowu sposób, a dowiedziawszy się, roz-
niosła to później po całej wiosce opowiadając
jakiego to uczynku miłosierdzia dokonali wzglę-
dem chorej Ziemiańskiej młynarz i wnuczka
Sommerowej. Teraz rozpoczęły się i inne kobiety
ze wsi zajmować losem biednej niewiasty, którą
przedtem tak bezlitośnie gardziły. Wiedziały, że
umie ładnie haftować, przychodziły więc teraz
jedna po drugiej zapytywać ją, czyby im tej
lub owej pracy nie zechciała wykonać. Zdumie-
nie je wprost ogarniało, gdy u niej się znalazły,
i to nie na widok odnowionej, ładnej chatki, tej
bowiem w jej poprzednim stanie nie znały, lecz

zdumienie na widok tej poważnej postaci, którą przedtem tak okropnie lekcewały.

Ziemiańska wydawała się im teraz taka zupełnie inna, taka jakaś smutna, taka cicha, że jak żywo nigdzie jeszcze na taką dziwnie smutną, cichą osobę nie trafiły. Mówiła z nimi tyle tylko i o tem, czego się od niej dowiedzieć chciały i czego im było potrzeba. Owszem, przyrzekła im że chętnie zrobi co tylko będzie mogła, potrafi już narazie i w łóżku, żeby tylko przyniosły. „Co się z tą kobietą stało? — mówiły do siebie, wyszedłszy przed chatkę. „Przedtem, to z każdym się tylko kłóciła, a jeżeli się ktoś u niej zjawił, to ledwie że na niego spojrzeć raczyła, a dziś — taka pokorna, taka cicha! — Zresztą już też najwyższy czas żeby się zmieniła i pokutowała bo ma za co.“

Wielką to przyjemność sprawiało babci Sommerowej, gdy kobiety wiejskie wychwalały przed nią Hanię. Pogodziła się wreszcie z jej codziennymi odwiedzinami, a gdy wkońcu i sama Ziemiańska przyszła, żeby i jej podziękować za wszystko co dla niej zrobiła, zechciała starszuszka łaskawie przyjąć jej podziękowanie. Że nie zapomniała przytem wypowiedzieć kilka ostrych uwag do nieszczęśliwej kobiety, to się już samo przez się rozumie.

„Macie słuszność cioteczko, naprawdę jestem tą najgorszą kobietą we wsi, lecz przytem jednak wierzę, że i za moje grzechy umarł Pan Jezus na krzyżu.“

Na coś takiego, to znowu Sommerowa nie miała żadnej odpowiedzi i rozpoczęła rozmowę o — gęsiach.

V.

Nadszedł adwent. Pewnego wieczoru wszyscy mieszkańcy młyna siedzieli razem dookoła dębowego stołu, zajęci w najróżniejszy sposób. Babcia z Hanią prządły, Andrzej coś rysował, terminatorowie darli pierze a młynarz czytał gazetę. Nagle otwarły się drzwi, a do pokoju wszedł chłopiec z urzędu gminnego z wezwaniem, by pan Koszyna czempredzej przyszli do pana burmistrza, bo on ma dla nich jakieś ważne wiadomości ze starostwa.

Hania spojrzała na młynarza i zauważyła, że spojrzenie, jakie on skierował na Andrzeja, było jakieś osobliwe a jeszcze osobliwszy był wyraz, jaki zatem przybrało oblicze tak rzadko kiedy wesołego Andrzeja. Twarz jego teraz zupełnie pobraźla.

W pierwszej chwili zerwał się z miejsca jakby z zamiarem, że on raczej pójdzie, wreszcie jednak usiadł znów z powrotem. Gdy młynarz z chłopcem wyszli, poszedł i on do pokoju w którym razem z młynarzem mieszkali. Terminatorów zawołała później babka do stajni.

Dziewczyna pozostała sama. Chwilę siedziała zapatrzona w kierunku drzwi, przez które właśnie wyszedł Andrzej i miała uczucie, jakby

jakiś głos mówił do niej: „Wstań i idź za nim!”

„Poco?” pomyślała u siebie, i zresztą jak ja mam iść, to przecie dla mnie nie wypada. Głos wewnętrzny jednak odezwał się jeszcze mocniej i miała wrażenie, że iść powinna, że wzywa ją On, „który przyszedł, aby szukał i zachował to, co było zginęło.” Wstała tedy narazie i poszła.

W pokoju paliło się światło, Andrzej siedział u stołu odwrócony plecami do drzwi, twarz miał ukrytą w dłoniach, opartą na stole i płakał.

Cichutko podeszła do niego dziewczyna i uprzejmym przemówiła doń głosem: „Panie Andrzeju, uspokojcie się i powiedzcie mi co Wam brakuje, co się właściwie stało?”

Młodzian spojrzał jej łagodne, pełne siostrzanego współczucia oblicze, poruszył wargami jakby chciał coś zawołać, i znów zaczął płakać.

„Nie płaczcie Andrzeju” poczęła go prosić dziewczyna, płacząc już teraz zarówno z nim. „Spróbujcie uwierzyć temu, z serca uwierzyć, że Was Pan Jezus miłuje, bardzo miłuje. O gdybyście byli w stanie tak mocno, tak szczerze w Niego uwierzyć, Onby Wam i mowę przywrócił.

Przestał płakać. Zachęcona tem dziewczyna, zaczęła mu opowiadać w krótkich słowach to, co mu już dawno opowiedzieć chciała o Tym,

„który przyszedł, uzdrawiając wszelką niemoc i lecząc wszelką chorobę ludzką“, o Tym, do którego gdy i ten największy grzesznik przyszedł, On precz go nie wyrzucił, lecz grzech mu odpuścił i nawet chorobę jego uleczył.

Zwolna podniósł młodzian głowę i spojrzał w jej pełne silnej wiary oblicze i coś, jakby promień nadziei błysło w jego oczach.

„Proszę niechże mi pani pożyczy Swej Biblii“ poprosił ją w swój sposób na migi.

„Owszem chętnie. Wyszła prędko a za maleńką chwilkę już była z nią z powrotem. „Kto uwierzy, zbawiony będzie.“ rzekła, kładąc mu ją do rąk i odeszła zostawiając go samego.

Młynarz wrócił już dosyć późno, był jakiś zamyślony. Hania zauważyła, że wzrok jego szuka Andrzeja. Powiedział wszystkim „Dobranoc!“ i poszedł za nim. Po chwili obaj położyli się na spoczynek.

Hania długo nie mogła zasnąć. Nie śpiąc, modliła się, Modliła za dwie dusze, o których wiedziała, że bliskie są Chrystusa Pana, który je szuka. Jedna była za potokiem, w samotnej chatce, druga tu obok w pokoju.

Nazajutrz wczesnym rankiem, poszli młynarz z Andrzejem do miasta. W domu powiedział młynarz tylko tyle, że mają tam do załatwienia ważną sprawę, i nikt nie miał prawa pytać o coś więcej, Wrócili dopiero wieczorem, obaj w dobrym humorze. Andrzej oddał Hani

jej Biblię z powrotem, pokazując jej swoją nową, którą kupił w mieście.

„Chcę mieć swoją własną. Wy także potrzebujecie swojej.“

I znów szło wszystko dalej swym zwykłym biegiem. Hania oddała się znowu swojemu szyciu, które trochę zaniedbała zajmując się opieką chorej Ziemiańskiej. Szyła pilnie. Jest to prawdą że gdy raz rozpocznie człowiek służyć Bogu w ludziach. iż wtenczas zacznie się otwierać przed nim pole pracy na wszystkie strony.

Usłyszała dziewczyna od kogoś, że sąsiadce rozchorowało się dwoje dzieci. Natychmiast poszła do niej, pomogła je pielęgnować a nawet kilka nocy przy nich czuwała, aż znowu oboje wróciły do zdrowia. Wywarło to takie wrażenie na sąsiadce, że później wszystkim to opowiadała twierdząc, że je Hania Stefanówna wymodliła, by jej przy życiu zostały.

„Ciekawe jak się to ona pofrafi modlić?“ — łamały sobie głowy kobiety. — „Książki ze sobą nie nosi, — chyba ona wszystkie te modlitwy na pamięć będzie umiała.“

Pewnego dnia, mała córeczka Kohnowej, przyszedłszy do niej w odwiedzin, żaliła się że je mamusia jest znowu bardzo ciężko chora. I jakież zdziwienie ogarnęło kobiety, gdy się dowiedziały, że Hania i do tej żydówki poszła. Żydówka miała lekarza, który oświadczył, iż jeżeli jej należycie pielęgnować nie będą, w

żaden sposób z choroby nie powstanie. Prosiła więc rodzina Kohnowa Hani, żeby była tak łaskawa i do nich choćby na krótkie przychodziła chwile. Hania nie tylko że się chorą z całą troskliwością zajęła, ale jeszcze przy tem to i owo w domu im zrobić, uporządkować pomogła. Nie odważyła się wprawdzie żydom tym mówić cośkolwiek o Panu Jezusie, — zresztą to już oni na każdym kroku u niej widzieli, Widzieli jak się ona zawsze we wszystkim do Niego tylko ucieka, jak w Słowie Jego czyta, a przedewszystkiem, jak miłość swoją do Niego w czynie objawia.

Później, już sami ją poprosili, aby im cośkolwiek z psalmów lub niektóre rozdziały z proroków przeczytała.

Przypatrując się jej z dnia na dzień, pojąć nie mogli, dlaczego ta dziewczyna jest taka zupełnie inna, niż reszta obywateli Zarzecza, choć także bylichrześcijanie. Widocznie dlatego, że jest młoda i zdrowa, dlatego czuje się szczęśliwa i ma ciągle uśmiech zadowolenia i szczęścia na twarzy.

Gdy już wreszcie żydówce o tyle się poprawiło, że Hania mogła odejść, nie było w rodzinie Kohnowej nikogo, ktoby jej nie żałował i za nią nie tęsknił. I doprawdy, gdyby była wiedziała dziewczyna jak błogosławiony wpływ wywiera na rodzinę Kohnów, a szczególnie jak mocnem, żywem była ona świadectwem o Chrystusie dla żyda Kohna, nie byłaby się

smuciła, że nie ma siły i zdolności by nieść ludziom światło.

Ach szkoda, szkoda że my tak często o tem zapominamy, żeśmy nie tyle mówić, ile raczej świecić powinni, świecić życiem, miłości czynem!

VI.

Był wieczór. Na dworze padał deszcz. We młynie było cicho i pusto, prócz młynnicy, gdzie młyn był w ruchu, a gdzie przy niedużej lampce siedział Andrzej, mając przed sobą otwartą Biblię. Właśnie czytał pierwszy rozdział proroka Izajasza i tak był w nim pogrążony, iż nawet zapomniał, że obaj terminatorzy tuż w pobliżu niego pracują, i ocknął się z zadumy dopiero wtedy, gdy chłopcy podeszli do niego i poprosili, by poszedł zasypać.

Zasypał a objaśniwszy co i jak mają robić, siadł znów do stołu i czytał dalej.

Obaj chłopcy od czasu do czasu ukradkiem spoglądali ku niemu z boku. Zauważyli bowiem, że jest jakiś smutny, że coś mu dolega. Prócz tego ciekawi także byli, co on to ma za książkę i co go tak bardzo w niej zajmuje. Wreszcie starszy zwyciężony ciekawością, poszedł z tyłu na palcach, i z poza plec, zajrzał do czytanej przez niego książki, gdzie wpadły mu w oczy czerwonym ołówkiem podkreślone

słowa: „A choćby były grzechy wasze jako szarłat czerwone, jak śnieg zbieleją, a choćby były jak karmazyn, jak wełną białe będą.“ Na te właśnie słowa patrzył Andrzej już długo, długo i oczy od nich oderwać nie mógł, dwakroć sobie głęboko przy ich odczytywaniu westchnął.

Na dworze tymczasem deszcz gwałtownie padał i padał. Słychać było szum wody, której tam gdzieś coraz więcej i więcej przybywało, koła się toczyły, młyn pracował, — było tutaj tak jakoś dziwnie, niesamowicie.

Hania Stefanówna siedziała w kuchni. W piecu wesoło palił się ogień, a na płytach dogotowywała się kolacja. Jeszcze przed chwilą prządał, lecz od dosyć dużej chwili siedziała pogrążona w głębokiej zadumie.

W samotności tej i ciszy które ją otaczały, taka jakaś bezgraniczna tęsknota i smutek ją ogarnęły, taki jakiś niewypowiedziany żal w swem sercu poczęła odczuwać nad tem, że ją własny jej ojciec, własna matka precz z domu, jak na wygnanie posłali, iż na płacz się jej zbierać poczęło. Tęskno jej zaczęło być po domu rodzinnym, po braciach, po siostrach i po wszystkim innem, co z chatą rodzinną związane było.

Gdy jednak później znów przyszło jej na pamięć, jak źle się tam w ostatnich tygodniach z nią obchodzili, jakto matce w niczem nie mogła dogodzić, jak ojciec na nią ani nie spoj-

rzał, bracia i siostry jej unikali, a wszystko wokoło niej, stało się jakby obce, wtenczas jak strzała uderzyła w nią myśl: Wzdyć ja już właściwie domu wcale nie mam, jestem taką zwykłą, biedną, bezdomną sierotą.

To odkrycie, tak boleśnie ją dotknęło, że pilne potąd ręce, naraz bezwładnie opadły na łono. a dwie duże łzy zawisnęły na rzęsach. „Nikt mi nie umarł, a przecie jestem sama jedna. Co ja zrobiłam, w czym wobec kogo zawiśniłam? Czy nie miłowałam ich wszystkich więcej jeszcze niż przedtem? Czy nie byłam dla nich lepszą córką i lepszą siostrą od chwili, gdy Boży pokój zapanował w mem sercu? Prawda że tu lub tam nie usłuchałam i nie zawsze zrobiłam tak, jak bym może zrobić była powinna, ale przecie przed tem było takich wypadków daleko więcej, a nikt mi ani słówka nie powiedział, było zupełnie dobrze.

Posłali mnie tutaj w obce strony do babci, która również sama u obcych ludzi mieszka. Mam ojca i matkę, a przecie muszę być tutaj jakby na łasce p. młynarza Koszyny. Gdyby z niego nie był tak szlachetny człowiek jak jest, nie musiałby mnie cierpieć u siebie.

Jakże chętnie poszłabym do domu, zapytała jak się im powodzi! Wiem, że będzie im potrzeba to i owo uszyć, lecz gdybym przyszła, czybym znalazła, że jest to ten sam mój dom, że jest on takim, jakim bywał dla mnie kiedyś?

Oj niema, niema już tam w nim dla mnie miłości rodzicielskiej. Może mnie już oni nawet nie wezwą do siebie z powrotem. Powiedzieli mi wprawdzie, że mogę przyjść znowu, jeżeli przyrzeknę, że więcej pomiędzy wierzących nie pójdę i że będę znowu taką, jak kiedyś bywałam. Ale co raz tutaj się stało, „— to mówiąc rękę sobie położyła na serce,” tego cofnąć już z powrotem niemożna. Dziecię jeżeli się raz narodzi żyje, a ja, musiałabym chyba umrzeć ową straszną drugą śmiercią, jeżelibym nie chciała żyć życiem, do którego mnie Boża łaska wzbudziła.

Potrafili mnie od serca swego odtrącić, potrafili mnie wysłać precz, w obce strony, na wygnanie, potrafili mi pozbierać i spalić książki moje kochane, potrafili mnie pozbawić łączności z innymi, do życia wiecznego również zbudzonymi sercami, jednego jednak nie potrafią, — Pana Jezusa, Zbawiciela mego, Jego zabrać mi nie są w stanie. „Tym którzy Go przyjęli, tym dał On tą moc, aby się stali synami Bożymi“ To jest moje, tego mi nikt nie weźmie.

To ją nieco uspokoiło. Po chwili jednak, przyszło jej znów na myśl: „Dobrze lecz jakże ja będę żyła, wciąż taka opuszczona, taka samotna? I wreszcie co wtedy, gdy i tutaj mieć mnie nie zechcą? Przedemną, jak szeroko, daleko, wszędzie tylko obcy świat, obcy ludzie, — tylko wygnanie.”

Ta ostatnia myśl, jakby ciężar ogromny zwali-

ła się na biedne serce dziewczyny. Plusk siekącego prosto w szyby okienne deszczu, smutny szum wody, monotony stuk kół w młynie, trzask ognia tuż przed nią, wszystko to wyglądało tak, jakby ją to albo do płaczu zmusić, lub też z nią razem płakać chciało.

Babci nie było w domu, poszli gdzieś ku umarłemu śpiewać, młynarz również gdzieś po południu wyszedł i dotąd jeszcze nie wrócił. Nikogo niema i nikt nie przyjdzie, żeby ją pocieszył i smutne jej myśli różproszył.

Lecz nagle, — o dziwo! Jeszcze łyż zwiślały z ręś, a czoło dziewczęcia już rozjaśnił jakiś cudowny blask, i to tak dalece, że aż rozkoszny uśmiech zaigrał około ładnych ust. Wyglądało to tak, jakby w tym ogniu, w który się zapatrzyła, coś dziwnie pięknego, poprostu coś wspaniałego zobaczyła. Złożyła ręce do łona spuszczone, przycisnęła je do piersi tak, jak to zwykle robią dzieci, gdy zachwycone, patrzą na coś wspaniałego, czem niespodzianie przez kogoś zostały obdarzone.

Ach, bo w tem sercu, w tem tak bardzo bardzo smutnem, ściśnionem sercu nagle, jakby ktoś ludzkim, uprzejmym odezwał się głosem:

„Niech się nie smuci serce wasze ani się nie lęka. W domu Ojca Mego wiele jest mieszkania, a gdyby nie, tobym wam powiedział. Idę abym wam zgotował miejsce. A gdy odejdę i zgotuję wam miejsce, zasię przyj-

dę i wezmę was do Siebie, abyście gdzie Ja jestem i wy byli."

A w tejże chwili, przed wzrokiem utrapionej dziewczyny, jakby z tego złoto rudego blasku ognia wyłonił się cudny obraz, obraz miasta Bożego, onego nowego Jeruzalemu, tego tak przepięknie w Bożem Słowie opisanego grodu Barankowego. I zapatrzyła się dusza jej zdumiona w to cudowne piękno, a równocześnie inna jeszcze prawda stanęła jej przed oczyma: Przecież to miasto święte, to gród, to stolica onego Baranka zabitego. A jeżeli Jego, jeżeli On przez cierpienie, przez krzyż wszedł do Swej chwały, to cóżbym ja biedna chciała? „Nie jesteście uczeń nad mistrza swego, ani sługa nad Pana swego. Jeżeli kto chce iść ze Mną, niechże weźmie krzyż swój na się i naśladuje Mnie."

I zrozumiała dziewczyna słowo Ducha Bożego świętego do niej się odzywającego i zerwawszy się z swej zadumy, sięgnęła znów po swej pracy ze słowami:

„Pójdę za Tobą Panie, pójdę z tym moim krzyżem. Ty taksamo byłeś na wygnaniu, własni Twój również Cię nie poznali ani Cię nie przyjęli, i ja chcę cierpliwie wstępować w Twoje ślady i znosić wszystko, co mi dla Ciebie i dla Twej sprawy znosić wypadnie na ziemi, a wiem, że gdy tą drogą pójdę, to po niej napewno przyjdę do Ciebie, przyjdę do domu."

Słów takich wprawdzie głośno nie wypowiedziała, lecz łatwobys je był mógł wyczytać,

gdybyś spojrział był w jej blaskiem ognia olśnionie oblicze.

„Dobry wieczór!” odezwał się nagle ktoś tuż obok niej. Hania zerwała się z miejsca.

— „Ach, panie Koszyna! Wyście już tutaj?”

W około zazwyczaj poważnych ust młynarza, zaigrał uśmiech. „I to już nawet dosyć dużą chwilę. Pozwól że sobie troszeczkę nogi ogrzeję” rzekł siadając na krzesło i przysuwając stopy nieco do piecyka.

„Nie wstawaj!” — zawołał zatrzymując wstawającą dziewczynę. — „Rób tylko dalej swoją robotę.”

— „Zapalę światło.”

— „Nie potrzeba. Możemy, sobie i tak trochę porozmawiać. Słuchaj! Gdy wszedłem do kuchni, byłaś taka jakaś niezwykle smutna, nieszczęśliwa a naraz, stałaś się tak zupełnie inną, rozradowaną. Ciekawy jestem co ci dolegało i co potem nagle cały twój nastrój tak zupełnie zmieniło?” rzekł młynarz, grzebiąc przy tem hakiem w piecu.

— „Co mi dolegało? ot przyszło mi na myśl to moje wygnanie, to, że nie mam nigdzie własnego domu, że jestem poprostu bezdomna”

— „Żeś bezdomna?” — spojrział na nią zdziwiony — „i że jesteś na wygnaniu? Czy ci tak bardzo źle u nas?„ Utkwił w niej swe badawcze spojrzenie, pragnąc dojrzeć myśli, jakie tkwiły, gdzieś tam na dnie jej duszy.

— „Panie Koszyna, świadoma sobie jestem tego, że przyjęliście mnie tylko z litości, i niech Wam to Pan Bóg wynagrodzi” — odpowiedziała skromnie — „lecz bądź co bądź jestem tu jednak jak na wygnaniu, ponieważ do domu wrócić nie śmiem.”

— „A właśnie ja słyszałem, że w tej chwili będziesz mogła wrócić, gdy tylko przyjdiesz do rozumu, czyli, — lepiej powiedziawszy, — gdy zaczniesz znów tak myśleć i żyć jak myślałaś i żyłaś kiedyś, jak myśli i żyje świat.”

Uśmiechnęła się z lekka. „Rozkażcie ptaszekowi by nie śpiewał, gdy wiosna przyszła i nastał czas śpiewu, albo kwiatkowi gdy się rozwinął, by zapachu swego nie szerzył wokoło, lub kurczątku gdy z jajka wybiegło, by doń znów wróciło i martwem jajkiem się stało, Jak to wszystko jest niemożliwem, tak niemożliwą jest i ta rzecz, bym raz do życia nowego się zbudziwszy, życiem tem wzgardziła i do śmierci duchowej wróciła.”

— „Owszem, owszem masz słuszość. I ja w swem życiu również miałem taką chwilę, od której także podobna u mnie nastąpiła zmiana; w tem to doskonale cię rozumiem. I ja żyłem w świecie podobnie jak wszyscy inni ludzie żyją, A nieraz bywało, że się sam u siebie zastanawiałem nad tem, poco tu właściwie żyje człowiek na tym świecie? Czy po to tylko, by pracował i pracował i zdarł się w pracy a wreszcie umarł,

zniknął, by go więcej nie było? Takie rozwiązanie sprawy, takie dokończenie radości mi sprawić, zadowolić mnie nie mogło. Trwało to dłużej. Wreszcie przypadkowo spotkałem się z człowiekiem, który zupełnie inną niż ja szedł drogą. Wdałem się z nim w rozmowę, i odtąd oczy mam otworzone i zupełnie inaczej patrzę na życie. Od tej chwili nie lękam się już, żebym napróżno żył i marnie dokończył.

Teraz kolej zdziwienia przyszła na dziewczynę. Dziwna rzecz! Czy to ona doprawdy miała by się potąd mylić? Uważała Koszynę za człowieka niezwykle szlachetnego. Na każdym kroku to widziała, jak gdzie mógł i jak mógł tak ludziom dobrze czynił, jak zawsze starał się panować nad sobą i nigdy nie dał się porwać do gniewu, krzywdy przebaczał szkody znosił bez szemrania, — lecz żeby on znał i przyjął Chrystusa Pana jako swego osobistego Zbawiciela, — tego nie przypuszczała. Zresztą jakby to było możliwe, jeżeli go nigdy a nigdy jeszcze nie widziała czytać w Bożem Słowie? Lecz jeżeli on jednak należał pomiędzy te Boże syny, a ona go niedoceniała?

— „Zauważyłem później” — zaczął znów, pierwiej nim ona sama coś zdążyła powiedzieć, — „że cię jakaś niezwykła myśl rozradowała. Czy mogłabyś mi powiedzieć, co to było takiego?”

Zarumieniała się dziewczyna z radości. Oj tak, powiem, powiem mu wszystko podzielę się z nim wszystkim, wszak jeżeli jest napra-

wdę człowiekiem szczerze wierzącym, to mię napewno zrozumie." Zatrzymała kołowrotek, by szmer jego nie przeszkadzał im w rozmowie, a potem zaczęła mu opowiadać o wszystkich bolesnych uczuciach i smutnych myślach, jakie serce jej napętniły, o tem, jak to w domu dla prawdy ją prześladowali, wreszcie i to, jak Chrystus Pan przez Ducha Swego pokazał jej że nie jest bezdomna, że raz i to doczesne jej wygnanie się skończy, skończy się tam, gdzie i Jego wygnanie się skończyło, w onem rozkosznem mieście, w onej nowej Jerozolimie. Oświadczyła, że jest gotowa przy Nim zostać i za Nim iść jakieby kolwiek ją przykrości i biedy spotkać miały, że ona chce Jemu, Panu Swemu, mimo wszystko pozostać wierna.

Koszyna siedział ze złożonemi na łonie rękoma, zapatrzony w dogasający ogień. Płomienie z otwartego pieca, czerwonym blaskiem oblewały jego twarz, z której wyrazu, napróżno starała się dziewczyna wyczytać, czy ją rozumie, czy podziela jej myśli lub nie.

Gdy skończyła, cisza zapanowała na chwilę w ciemnym pokoju. Była to cisza taka, żebyś był — jak mówią — usłyszał szelest skrzydeł anioła, gdyby był tędy przeleciał.

— „Panie Koszyna wybaczcie, ale ja nie wiedziałam, żeście Wy również jeden z tych szczęśliwych, którzy byli umarli a ożyli, którzy przyjęli Chrystusa Pana a „On im dał moc, aby się stali synami Bożymi.”

— Co do tego, to w tem się dziewczę mylisz" rzekł, podnosząc głowę. „Tego coś ty według opowiadania twego przeżyła, tego ja nie przeżyłem. Ja jestem człowiekiem rozumu a z rozumem takie rzeczy, o jakich ty opowiadasz pogodzić się nie dają. Ty wierzysz w Chrystusa Pana, który umarł a potem wstał zmartwych, wstąpił w niebo i usiadł na Bożym tronie; wierzysz w niebo i w życie wieczne przed obliczem Bożem. Ja zaś, wierzę w Chrystusa Jezusa, tylko jako w wielkiego męża, który największy był z pośród tych, którzy kiedykolwiek na świecie byli i uczyli ludzi pożytecznie żyć i bohatercko umrzeć. Dla mnie jest on człowiekiem, który żył i umarł dla swej nauki i za swoją naukę.

Takiem rozumowaniem zaskoczona dziewczyna, rzekła po małej chwilce spokojnie: „Panie Koszyna, ja sprzeczać się o coś podobnego nie umiem, nie potrafię. Jedno jednak wiem i rozumię i zbić mi tego nie potrafi nikt, mianowicie wiem, że tu był kto inny, a nie tylko taki biedny nauczyciel, o jakim Wy mówicie. Tu był Chrystus taki, jakim Go Pismo święte przedstawia i jak On Sam siebie nazywa i jakiego dusza moja i cała istota moja i istota wszelkiego stworzenia potrzebuje: Boży Syn, Ojciec wieczności, Świata Zbawiciel, który jako wyrażenie, obraz istoty Bożej na świecie się zjawił, duszę swoją za życie moje i za życie tych, którzy Weń wierzą położył, umarł, a

umarłszy zmartwychwstał i do Swego domu, na prawicę Ojca Swego odszedł, dokąd wprowadzi za sobą wszystkich tych, którzy Słowo Jego przyjęli i w szatę łaski Jego przyoblec się pozwolili."

To powiedziawszy, zamilkła.

Koszyna również milczał.

Po małej chwili, przerywając milczenie, raz jeszcze się odezwała:

"Panie Koszyna, mnie się to wprost nieprawdopodobnem wydaje, żebyście Wy rzeczywiście nie wierzyli, że On, Pan Jezus umarł dla grzechów naszych."

— "Nie, temu ja nie wierzę."

— "A wtedy, z grzechem swoim co poczniecie?"

— "Lekki uśmiech przemknął mu po twarzy."

— "Czy widziałaś mnie już kiedy, żebym grzeszył?"

Taką odpowiedzią zaskoczona, nic w pierwszej chwili nie odpowiedziała dziewczyna. On tymczasem ciągnął dalej:

"Tak prawie, jak ja ciebie nie widziałem grzeszyć, od czasu jak jesteś u nas, owszem, co czynisz, czynisz wszystko dobrze: miłujesz Boga, miłujesz ludzi i w ten sposób wypełniasz przykazania Chrystusowe, taksamo myślę, że ani ty nie zastałaś mnie na żadnem złem słowie lub uczynku. Każdy kto gotów jest żyć

jak Chrystus uczył i jak On żył, ten nie grzeszy."

— „I przypuścimy gdyby tak było, choć niestety tak nie jest, bo zawsze jeszcze ciągle na nowo upadamy" — odezwała się dziewczyna — „to cóż jednak będzie wtedy, gdy niepokoić zaczną naszą duszę te nowe, a z nimi później i te wszystkie już dawno popełnione występki?"

— „Ja w ostateczny sąd wcale nie wierzę, i stąd też niepokoję, o jakim mówisz, nie znam. Uważam że jeżeli żyję, jak Chrystus przykazał, że się ostoję. Niegdyś dosyć trudno mi było żyć takim nowem, szlachetniejszym życiem, jakiem dziś żyję; jeszcze dziś nie jest mi to łatwo. Mimo to jednak staram się być panem własnego postępowania. Gdzie potrzeba zdeptać własne chęci, własne pożądanja, tam to czynię, bym tylko był wstanie osiągnąć cel, który sobie wytknąłem. Powiem ci na przykład choćby tyle: Tam gdzie dawniej żyłem, żyć sobie mogłem potąd, i to bardzo wygodnie. Wszystko tam miałem czego mi było potrzeba. Miałem jednak nieprzyjaciela, którego chciałem uratować, uczynić mu dobrze, tak jak to właśnie Chrystus rozkazuje. Chodziło tutaj o życie człowieka, które trzeba było zachować. I właśnie dlatego mnie tutaj dziś widzisz. Nie żałuję żem się tutaj znalazł, żem do pewnego stopnia się poniżył, w dół zstąpił. Mam wskutek tego daleko więcej sposobności czynić lu-

dziom dobrze. Mówię Ci to wszystko dlatego, ponieważ chciałbym ci przez to powiedzieć, że nie potrzeba człowiekowi czekać i szukać sobie jakiegoś osobliwszego nieba; ofiarą zaparciem samego siebie, może człowiek sam sobie stworzyć niebo w swem własnem sercu, nie potrzebuje czekać na jakiś tam wieczny żywot w niebie; może żyć w niebie już tutaj na ziemi."

"Aż do śmierci" — dodała dziewczyna — "a potem ze śmiercią, niebo to się skończy. O, panie Koszyna ja Was i Wasze poświęcenie podziwiam, lecz mnie jednak to moje nowe niebo, nowa ziemia a w niej, ono nowe Jeruzalem w którym znajdę Jego, Pana i Króla mojego Jezusa Chrystusa, jest daleko miłsze — poprostu dlatego, bom ja grzeszna, bo mnie potrzeba Zbawiciela, a właśnie tego Zbawiciela w Nim w Chrystusie Panu znalazłam i w Nim go na wieki znać i mieć będę."

W międzyczasie ugotowała się wieczerza, było ją trzeba tylko przygotować. Koszyna nic już więcej nie rzekł, wruszył tylko ramionami i wstawszy poszedł do młynnicy. Andrzej zobaczywszy wchodzącego młynarza, zawarł księgę i rozradowany wyszedł naprzeciwko niemu. Terminatorowie spostrzegli, jak się z przybycia majstra ucieszył i jak zaraz z sobą zaczęli rozmowę.

Chłopcy dosyć już dobrze znali rozmowę na migi, z tego jednak, co majster z czeladni-

kiem rozmawiali, nigdy niczego nie potrafili zrozumieć. Dlaczego, tego nawet ani sami nie umieli sobie wytłumaczyć. Teraz w tej chwili, ponieważ Andrzej ciągle na książkę wskazywał, rozumieli że mówi o tem, co go w niej tak bardzo zajmowało.

W tenże wieczór, ledwie co stara Sommerowa do domu wróciła, przyszła taka straszliwa ulewa, a do tego jeszcze taki okropny wiatr, iż ledwie że dachu z budynku nie zerwało tak, iż nikomu od strachu nawet się ani spać nie chciało. Koszyna poszedł do swojego pokoju, wszyscy inni zaś byli radzi, gdy Hania wzięła Pismo święte i zaczęła im coś czytać. Wyszukała sobie właśnie także opowiadanie o burzy, mianowicie o owej burzy na morzu, którą Pan Jezus uciszył swem wszechmocnym słowem

Andrzej robił jakiś rysunek, po chwili jednak odłożył ołówek i także słuchał.

„O, jak to naprawdę dobrze mieć zawsze Pana Jezusa około, siebie“ — rzekła w pół do siebie w pół do siedzących obok niej chłopców — „i jakie to niebezpieczne życie, gdy Jego przy nas niema.“

— „To prawda“ — odezwała się babcia Sommerowa — „lecz powiedzże dziewczę, jak to może być Pan Jezus zawsze przy nas? Przecie modląc się „Wierzę“ mówimy, że wstąpił na niebiosy, usiadł na prawicy Boga Ojca

Wszchemogącego," „Nie może więc równocześnie tam siedzieć i tu być na ziemi."

— „Jak to jest możliwem, tego ja babciu nie wiem, lecz to wiem, że co On przyrzekł, tego też i dotrzyma, a On powiedział: „Oto ja jestem z wami aż do skończenia świata. Nie zostawię was sierotami, przyjdę do was." Ja wierzę i wiem, że On w tej chwili jest z nami i około nas, tylko że my Go niewidzimy gdzie właśnie stoi."

Przy tych słowach, mimowoli wszyscy się obejrżeli.

„Haniu, czy Wy doprawdy temu wierzycie że On jest tutaj?" — napisał Andrzej ołówkiem na kartce i podał dziewczynie.

— „Owszem że wierzę, Andrzeju. I właśnie dlatego się też tego wichru nie boję" odrzekła na to dziewczyna.

— „To byłoby straszne, żyć w ustawicznej Jego obecności" napisał Andrzej dalej.

— „Straszne? Ale gdzie tam Andrzeju! To jest radosne! I ten najmocniejszy człowiek bywa czasem bezsilny, bezradny tak, że mu koniecznie pomocy potrzeba, a o Nim jest napisane, iż „Nazwią imię Jego Dziwny, Radny. Bóg mocny, Ojciec wieczności, Książę pokoju." Kiedyś czytałam, — a to mnie niezwykle ucieszyło, — że wszystko to, czego potrzebujemy mamy w Nim. Jeżeli nam potrzeba odpuszczenia, to On nam go da, al-

bowiem jest Zbawicielem. Gdy nam potrzeba rady, a ludzie dać jej nam nie mogą, On nam ją dać może i da, w każdej potrzebie. Gdy nam pomocy potrzeba, On nam jej udzieli, gdyż jest wszechmocny. Gdy nieprzyjaciele radzi by nas zgubić, On ich poskromi, bo On jest Bóg mocny, — A my Go i teraz bardzo będziemy potrzebowali." — to powiedziawszy, nagle zerwała się z miejsca i pobiegła do okna.

Wszyscy inni również za nią pobiegli, by zobaczyć, co się dzieje. W tejże chwili ze wsi dał się słyszeć wystrzał a za nim natychmiast rozległ się głos dzwonu,

Młynarz otworzył drzwi. „Gdzieś coś niedobrego się dzieje, chodźmy zobaczyć.”

Chłopcy się zlekli, staruszka poczęła ręce załamywać, sama tylko Hania zachowała równowagę ducha. Wzięła lampę którą młynarz na stole postawił, poszła za obiema do młynnicy, a gdy wyszli na podwórze, stanęła z nią u okna i w ten sposób oświeciła obu mężczyznom wodę, która się zewsząd strumieniami na wieś waliła, grożąc jej zalaniem.

„Woda wali się na wieś, Koniecznie musimy skierować ją na łąki, tylko niestety jest nas za mało” wołał młynarz,

— „Zaraz, ja Wam pójde pomóc”, zawołała dziewczyna. „Janku, postaw sobie tutaj stołek i trzymaj lampę na oknie, tak, żeby jej wiatr gdyby okno otworzył nie przewrócił, albo nie zgasił”.

Postawiła lampę na oknie, poczem odszedłszy do drugiego pokoju, prędko zrzuciła ze siebie długą suknię, włożyła na siebie krótką babci, wdziała wysokie buty, i nim ją wystraszona staruszka mogła powstrzymać, już brodziła w głębokiej wodzie.

„Haniu! Haneczko! dokąd idziesz? Oj, co ty robisz! Nie chodźże tam bo Cię woda porwie!”

„Nie bójcie się babciu, nic mi się nie stanie.”

„Haniu natychmiast wracaj! Nic nam tutaj pomóc nie potrafisz i jeszcze cię fale porwią, czemp prędzej uciekaj!!” nakazywał młynarz.

Nie usłuchnęła jednak dziewczyna, owszem dołożyła sił ile mogła i pomagała i to pomagała skutecznie; niktby się w tych drobnych rączkach tyle siły nie był spodziewał.

Szczęśliwie się im udało zatamować wodę i skierować ją na łąki tak, iż płynęła ona teraz przez pola i role w dół, zamiast żeby była poszła i zalała wieś. Deszcz ustał, i już tylko płatki śniegu padały pracującym w twarz.

We wsi panował tymczasem straszliwy popłoch. Niewiedzieli mieszkańcy, że ci trzej tam w górnej jej części, zapomocą Czwartego, odwrócili od nich całe okropne nieszczęście i ochronili ich mienie od niechybnej zagłady.

„Tak, teraz chodźmy już do domu,” rzekł młynarz. Nie posyłał już Hani z powrotem, ow-

szem podał jej jedną zaś Andrzej drugą rękę, aby wspólnie mogli się oprzeć prądowi wody, która czem dalej szli, tym była głębsza, a nie mając w nizinie żadnego odpływu, szła ulicami i wlewała się do podwórz i do zabudowań wieśniaczych.

Z przybyciem młynarza, wystraszeni ludzie oprzytomnieli trochę, tem więcej, gdy się dowiedzieli, że woda już więcej się nie podniesie,

Naturalnie, że Koszyna nie powiedział im ile sobie spowodował szkody, żeby tylko ich uratował mienie. Hania z Andrzejem ratowali co tylko gdzie mogli. Nagle dziewczyna puściła skrzynię z ubraniem, którą w jednym z domów z komory pełnej wody na strych razem z Andrzejem wynosili. Młodzian spojrział na nią, widząc jak pobladła i położyła sobie rękę na czoło, w tej chwili chwycił ją za drugą, a wargi wydały głośny, nienaturalny okrzyk, że musiała spojrzeć na niego.

„Okaleczyliście się? Co się Wam stało?” zapytał jej na migi.

„Ach Andrzej! myśmy skierowali wodę na łąki i ona płynie teraz przez pola do zagajników ku chatce Ziemiańskiej a ona tam jest sama! Prawda Andrzej, pójdziecie ze mną?”

Szybko skinął głową, na znak zgody.

Wynieśli skrzynię, i już pędzą co tylko sił i tchu starczy w kierunku samotnej chatki.

Po niebie przewalały się obłoki, a tu i tam kilka gwiazd spoglądało wdół, na ogromne spus-

toszenie, jakie woda wyrządziła na polach. W chatce było widać palące się światło.

„Andrzeju, popatrzcie się”, zawołała na młodziana, uradowana dziewczyna. Tak, Bóg jest naprawdę mocny, On rozkazał, a wody inny musiały obrać kierunek.”

Ciekawy obraz oświecała lampa z młyna, Tam hen, jakby na wyspie stała chatka, a dookoła niej, wszędzie waliły się wody, które jedna jedyna spróchniała kłoda zatamowała, i w inną skierowała stronę tak, że nie popłynęły aż do zmurszałych ścian chatki a przez nie, do jej wnętrza.

Gdy znaleźli się na miejscu, Andrzej otworzył drzwi i wpuścił Hanię przed sobą. U łoża, z głową na świętej księdze złożoną, klęczała opuszczona niewiasta, szukając pomocy u Tego, u którego ona jedynie była dla niej do znalezienia.

Oczy miała zamknięte. Łzy zwisające z rzęs, świadczyły że płakała. W tej chwili spoczywał już jednak taki spokój na jej pięknej bladej twarzy, jak u dziecka, gdy zaśnie na matki swej łonie.

Skrzypnięcie drzwi obudziło ją z zamyślenia, zauważyła że ktoś wszedł, obejrzała się i z radosnym okrzykiem: „Aneczko, to Wy jesteście!?” pobiegła obiema naprzeciwko. Widząc jak są przemoknięci i zziębli, prowadziła obu ku ciepłemu piecu,

Chętnie usadowili się koło niego, poczem dziewczyna zaczęła opowiadać, co się we wsi dzieje i poco przyszli.

Ziemiańskiej ponownie lzy trysnęły do oczu. „Wyście mnie chcieli ratować? Bóg Wam zapłać! Ratunku tego właściwie już nie było potrzeba. On bowiem sam o mój ratunek się postarał. O Aneczko, modlitwy Wasze już są wysłuchane. Podczas gdy tam w dolinie, we wsi było Boże nawiedzenie to i mnie tutaj, w mojem ustroniu Pan i Zbawiciel mój nawiedził. Ja nawet nie wiem, jak Wam to mam opowiedzieć, co się ze mną stało. Opowiem jednak jak umiem. Było to prawie tak, jakżeście to wieczorem w Bożem Słowie czytali. Szukał Pasterz Dobry Swojej zgubionej owieczki tak długo, aż ją wreszcie i znalazł. Gdym tutaj sama, samiuteńka wśród tej straszliwej nawałnicy do Niego w trwodze wołała, stanęło w tej chwili przedemną całe moje wykolejone życie, wszystek mój grzech i to w tak okropnej postaci, że mi się zdawało, że jest poprostu niemożliwe, żeby mnie, taką grzeszną, Bóg zechciał wybawić z walącej się na mnie zguby. I w tem przerażeniu nagle, niewiedzieć jak i skąd, usłyszałam głos: „Nie bój się, bom ja z tobą“ i w tej samej chwili uzyskałam taką pewnośc, iż On naprawdę jest ze mną, że natychmiast upadłam przy łożu mojem na kolana.

Zacząłam czytać ów 55-ty i 53-ci rozdział proroka Izjasza któryście mi wskazali, i we

wierze w Niego uzyskałam pewność odpuszczenia grzechów i on błogosławiony pokój, który teraz napelnia moją duszę."

— „O tak, Pan jest naprawdę dobry, godzi Mu się za to serdecznie podziękować” — zawołała dziewczyna. I w tej chwili z ubogiej wzgardzonej chatki, wzniosła się do Bożego tronu dziękczynna modlitwa dwu zbawionych dusz, które dziękowały Bogu i chwaliły Go, pełne prawdziwej radości z dwojakiego, cielesnego i duchownego, ratunku, jaki się im dostał w udziale,

Co myślał u siebie i co odczuwał przy tem wszystkim tuż obok siedzący młodzian, któż może wiedzieć? To widziały tylko te oczy, które z góry, z niebios na niego patrzyły.

Jakże ucieszyła się babcia, gdy w pół godziny później spostrzegła wchodzącą do kuchni wnuczkę. Na wskroś przemoknięta, ubłocona, zziębnięta tak, że trząsała się od zimna, a przecież taka wesola, szczęściem promieniejąca wróciła do domu. Prędko pomogła się jej rozebrać, zaprowadziła do łóżka i pierwszy raz za cały czas pobytu jej w młynie, przygotowała jej łóżko i przykryła w niem, jakby jakie małe, bardzo kochane dziecko, i z przyjemnością patrzyła się na nią, gdy po małej chwili spoczywała już w głębokim pogrążona śnie.

Młynarz z Andrzejem przyszli nieco później i natychmiast także poszli na swój zasłużony spoczynek.

Rad był Koszyna, że Hania już zasnęła. „Ona dzisiaj jako dobra chrześcijanka pracowała. Nie budźcie jej wcześniej, zostawcie ją niech się dobrze wyśpi i sobie odpocznie rzekł, zamkając za sobą drzwi sypialni.

Staruszka zaś, nie mogąc do późnej nocy zasnąć, długo rozmyślała nad temi poważnemi słowami. — „Owszem ona naprawdę jest prawdziwą chrześcijanką“, myślała u siebie babcia, „Chrystus Pan jest naprawdę z nią. — Czem jednak jesteśmy w takim razie my?“

VII.

Minęła, w morze wieczności odeszła owa mroźna zima, obfita w wielkie opady śnieżne, zawieje i lody, która się wówczas tą pamiętną była rozpoczęła powodzią. Nadeszła wczesna wiosna. Wielkanoc, zmartwychwstanie. Zdawało się napozór że wszystko idzie jak dawniej szło. Gdybyś jednak zajrzał do domów, znalazłbyś wszędzie te lub inne tu i ówdzie zaszłe zmiany. Albo tu lub tam było jedno lub więcej miejsc opróżnionych, albo też o jednego przybyło do stołu. Jedni pomarli inni się poženili, a jeszcze inni, nowi przyszli na świat, Radość i żal się zmieniały. Tylko w młynie zarzeckim nic się nie zmieniło; wszystko pozostało po dawnemu. Nikt nie przybył ani też nikogo nie ubyło.

A przecie mimo to, i tam wyglądało, jakby i tutaj było o jednego więcej. Ludzie któ-

rzy do młyna przychodzili, nie widzieli Go, ale ci z domowników, którzy w Jego obecność uwierzyli, ci wiedzieli, że przy jednym z nimi zasiada stole. Gdy się wieczorem na spoczynek kładli, wtedy Jemu w opiekę dom i wszystkie sprawy swoje polecali, a gdy w poranku ze snu się budzili, znowu z Nim dzielili się troskami i nadziejami swemi.

Odczuwali wszyscy domownicy Jego bliskość, odczuwał ją i Koszyna. Zauważył, jak owo przekonanie, owa żywa wiara którą Hania Stefanówna z sobą przyniosła, wszystkim zwolna się udzielała; jak udzielała się obu terminatorom, udzielała babci, i jak nie oparł się jej nawet ani Andrzej.

Widział, jak i on sam do tego się przyczynił, zgadzając się na prośbę Hani i zaprowadzając w domu ranne nabożeństwa. Przeczytaniem krótkiego ustępu z Pisma świętego, zaśpiewaniem pieśni i modlitwą rozpoczynano bowiem od dłuższego czasu w młynie każdy nowy dzień.

Zauważył Koszyna, że z tem z prochu zapomnienia dobytem Słowem Bożem, weszła do jego domu jakaś inna, nowa siła.

„Mniejsza z tem“ — myślał u siebie — „mego przekonania oni i tak ze mną dzielić nie będą, to nie tak łatwe, do tego trzeba więcej siły. Niechże więc wierzą, choćby i w to powszechnie głoszone kłamstwo, że Jezus żyje, główna rzecz, że poddają się Jego słowu.“

Czuł przytem Koszyna, że obecnie jest mu łatwiej przykazanie Chrystusa wypełniać, gdy nie jest w domu sam jeden. Jedno tylko sprawiało mu niewymówną boleść, mianowicie to, że Andrzej nie będzie już dzielił z nim jego przekonania.

On bowiem doprawdy zrastał się z tą księgą ksiąg, wszystkie inne traciły dla niego na wartości. Jednakowoż, gdy Koszyna aby Hani radość sprawić, kupił jej książki i zaabonował czasopisma, które jej w domu rodzice spalili, wtenczas ani ona sama nie miała takiej radości z przywróconych znowu skarbów, jaką miał z nich Andrzej. W książkach tych czy czasopismach, znajdowały się ogłoszenia innych jeszcze pism, te wszystkie zakupywał Andrzej, — o ile tylko nabrać mógł przekonania, że mu one lepiej jeszcze prawdy biblijne wyjaśniają i głębiej w Słowo Boże go wprowadzają. I czytał je później nietylko on sam, lecz pożyczał je innym,

Hania zaś zabierała tą lub ową z nich, i czytała znów w małej chatce pod lasem, gdzie się u Ziemiańskiej w niedzielne czy świąteczne popołudnia schodziły kobiety.

Powstaćby mogło pytanie, jak to było możliwe, że odważyły się kobiety przyjść do tej tak okropnie przedtem okrzyczanej chaty?

Otóż stało się to możliwem w ten sposób, że Ziemiańska zrobiła coś, czemu nawet i sama Hania się zdziwiła. Poszła ona mianowi-

cie na wieś, i chodząc od domu do domu, wszędzie, gdzie kiedyś j kiegoś zgorzsenia była przyczyną, tam teraz swe grzechy wyznawała, prosząc o wybaczenie i to nieraz te osoby, które raczej ją samą powinny były przeprosić, szczególnie mężczyźni, — a nawet i kobiety, które nieraz dużą jej wyrzuciły krzywdę. Zrobiła zaś tak dlatego, bo jak mówiła, — Pan Jezus ją z Bogiem pojednał i ona więc chce się z ludźmi pojednać, żeby móc rozpocząć nowe życie.

Ponieważ opowiadała, że jej Pan prawie tak grzechy odpuścił, jak owej Marji Magdalenie, która łzami nogi Jego obmywała, i że stało się to podczas tej powodzi, zaczęli ludzie o niej mówić, iż z pewnością wtedy od strachu postradała zmysły. A ponieważ obłąkanego i umiarkowanego, tych dwu znać ludzie nie sądzą, więc i jej dano poniekąd spokój, i kobiety zaczęły do niej przychodzić, przynosząc jej pracę, umiała bowiem prześlicznie haftować. Miała więc pracy pod dostatkiem, że ledwie podolać jej była wstanie.

Z początku, nie sprzeciwiały się jej słowom, niby dlatego, żeby jej nie drażnić. Później jednak, zaczęły już o tem i owem co u niej zauważyły i od niej słyszały rozmyślać, a także i nad tem, co im tu i tam od czasu do czasu Hania Stefanówna przeczytała. „Przyjdź i do nas, niech to i nasi mężowie słyszą, to bowiem co nam przynosisz jest doprawdy bardzo dobre.”

Mężczyźni jednak Hani nie słuchali tak chętnie, oni raczej przychodzili, słuchali i rozmawiali z panem Koszyną. To bowiem, co im Hania Stefanówna czytała i mówiła, toczyło się przeważnie około osoby Chrystusowej i około onego nowego życia z Nim, z Chrystusem, i wogóle około rzeczy, które nie są z tego świata, około spraw duchownych, wiecznych, a to ich nie interesowało. Natomiast Koszyna opowiadał im i czytał o czemś zupełnie innym. On opowiadał im o krajach obcych, o ich mieszkańcach, o sposobie ich gospodarowania, o tem, jakby i tutaj nie jedno było trzeba zmienić; mówił im o pszczelnictwie, o ogrodnictwie i mili Zarzeczanie, choć wcale nie mieli zamiaru do jego rad i nauk się stosować, to przecie słuchać chętnie go słuchali.

A szczególnie od owej powodzi, gdy spostrzegli, ile to szkody sam sobie spowodował, żeby tylko ich domy od zagłady uchronił, od tego dnia, naprawdę zaczęli go szanować i wysoko sobie cenić.

Gdy w toku rozmowy, mimowoli zeszli niekiedy i na sprawy Boże, mawiał do nich Koszyna, że człowiek tak powinien żyć, jak to Chrystus uczył i jak On sam żył. Na to mu oni zazwyczaj odpowiadali, że niestety to trudno, bo człowiek jest grzeszny, słaby. Taką odpowiedź, odpierał Koszyna krótko słowami: Spróbujcie ty ko, przestańcie źle czynić, a uczcie się dobrze czynić.

I rzeczywiście doprowadził u niektórych tak daleko, że z sąsiadami swemi, z którymi od roku lub dłużej procesy toczyli, się pogodzili i procesy zostały wstrzymane. Przyznali mu słusność, że jest to tylko głupie napychanie kieszeni pewnym panom. Innych udało mu się znowu powstrzymać, że zaprzestali pijaństwa, inni zaprzestali klątwy, jeszcze inni wyzbyli się papierosów i fajek i t. p. Wielu i wielu próbowało żyć, jak żył Koszyna, choć przytem nie dużą żywili nadzieję, żeby się im to na długo udało. Żyjąc teraz trochę inaczej, popadli znowu w inne zło. Poczęli wmawiać w siebie, że jeżeli żyją teraz życiem innym, to już Pan Bóg na ich dawne grzechy pamiętać nie będzie. Takie rozumowanie, duszom ich wcale nie przynosiło użytku i pokoju.

Pewna z wieśniaczek, starsza już niewiasta, matka pięciu dorosłych synów, która również do „szalonej“ Ziemiańskiej chodziła, pewnego dnia z płaczem zaczęła przepraszać męża, potem synów i wreszcie i synowe swoje, że w tem czy w owem przeciwko nim zawiniła, zgrzeszyła.

„Ależ uspokójcie się, nie płaczcie“ cieszyli ją synowie i synowe. Nie stało się przecież nic tak strasznego, a jeżeli było coś niecoś, to my Wam to radzi odpuścimy. Zresztą gdy odtąd zaprzestaniecie już czynić to czy owo zło, to znów wszystko będzie dobrze.

— „Tak, tak, ale co będzie z mojami tyłu i tyłu dotychczasowemi grzechami? Cóż mi pomoże, że ja odtąd zacznę żyć innem życiem, jeżeli jest napisane „Nieprawości moje położyłeś przed sobą”. Kto odwrócić może odemnie sprawiedliwy sąd Boży, kto odwróci odemnie strach przed nim?”

Na to już nikt nie mógł dać jej nijakiej odpowiedzi, cała rodzina stanęła wobec tego jakby ją zimną wodą oblał. Zrozumieli wszyscy, że nie tylko z matką ale i z nimi nie jest dobrze. Niepokój ogarnął taksamo ich dusze. Nie wiele tej nocy spali, jeden jak drugi z boku na bok na łożach swych się obracali.

„Doprawdy, że ona ma słuszość“, myślał u siebie siedlak. Jeżeli chce ktoś nowy dom na miejscu starego budować, musi koniecznie pierwej usunąć poprzedni. Jeżeli się chce kto ubrać w nowy surdut, musi pierwej zdjąć ze siebie stary. Koszyna jest bardzo mądry i poważny człowiek, ale tutaj, w tym wypadku on się myli. Coś zrobić musimy aby tych wszystkich dawnych czy niedawnych przestępstw naszych nie było. Może będzie dobrze, czytać Boże słowo tak, jak to u Koszyny robią. Z niego, dowiemy się nie jednej prawdy w tym względzie. W ten sposób żona moja chyba się jeszcze najprędzej uspokoi. Przecie z niej nie jest jeszcze taka najgorsza kobieta. Inne żyją daleko gorzej, a zupełnie nic sobie z tego nie robią. Co się to tyłko z nią robi?”

Uspokoił się siedlak jak umiał. Od tego czasu zaczęli czytać i w tym domu Słowo Boże, podobnie jak u Koszyny. Ponieważ tego jednak nie czynili z modlitwą, z prośbą żeby im Bóg przez Swego ducha tajemnice Słowa Swego odsłonił, niewiele ze wszystkiego tego co czytali byli wstanie zrozumieć. Bowiem „Duchem świętym pędzeni będąc, mówili niegdyś święci Boży ludzie”. i taksamo też znowu tylko przez tegoż Ducha świętego Słowo to zrozumiane, pojęte być może. Ztąd też często tak bywa, że skromny chłop na wsi, który ledwie że czytać potrafi, lepiej nieraz Boże Słowo zrozumie, niż niejeden uczony profesor teologii.

VIII.

Już tylko kilka dni było do Wielkiejnocy. U Koszyny bielono cały dom. Dużo było przy tej pracy najrozmaitszego przenoszenia i sprzątania. Wreszcie byli z tem na tyle gotowi, że już tylko pokój Koszyny i Andrzeja był do uporządkowania a pracą tą zajęta była Hania.

Ocierając szmatą wilgotną sprzęty pokojowe, zauważyła, że przy przenoszeniu, oderwały się zawiasy od drzwi Andrzejewej szafy, i że trzymają się tylko na samym zamku. Przy pierwszym lekkim poruszeniu, drzwi te się otwały i ubrania, które były w szafie umieszczone, pospadały z wieszadeł.

Zabrała się dziewczyna do zbierania i wieszania zpowrotem jednego kawałka po drugim. Nagle przystanąła, i zapatrzyła się zdziwiona w trzy części ubrania, które znalazła. Był to wojskowy surdut, płaszcz i spodnie z najlepszego sukna. Prócz tego, w kącie szafy jeszcze leżało wywrócone pudełko, z którego wypadła czapka wojskowa i rękawiczki, zaś w rogu szafy spostrzegła wiszącą szablę i pas.

Skąd się mógł wziąć ten mundur w szafie czeladnika Koszyny?

Bo że mundur ten nie był mundurem zwykłego żołnierza, to poznała dziewczyna odrazu z oficerskich odznak, jakie znajdowały się na nim. Na to pytanie nikt jej nie był w stanie dać odpowiedzi. Pozbierała więc resztę rzeczy leżących na podłodze, włożyła je z powrotem do szafy i schyliła się jeszcze po kawałek leżącego na podłodze papieru, który był wypadł z wojskowego płaszcza. Był to zwykły bilet wizytowy, z jakimś obcym nazwiskiem, na którym napisane było kilka następujących słów:

„Poniżej parowego młyna, odległość 10 kroków; wszystko gotowe.“

Dziewczyna przeczytała papier, lecz nic z tego wszystkiego nierozumiała, uczyła tylko jakiś dziwny niepokój, który ją nagle ogarnął, i rada była, że w tej chwili drzwi się otwały i wszedł Andrzej. Mogła mu bowiem wyjaśnić, czego szuka w jego szafie.

„To znowu,“ — rzekła, gdy już przymocował zawiasy — wypadło tam z tego wojskowego płaszcza i podała mu bilecik. Przeraziła się jednak, zauważywszy okropnie pobladłe, zmienione jego oblicze i więcej jeszcze, gdy równocześnie wydarł jej cedułkę i zgniół w rękach. Taki wyraz twarzy miewają ludzie, gdy jakiego szkaradnego robaka lub węża zabijają.

„Andrzeju, proszę Was nie gniewajcie się zem się do tych rzecz Waszych zabrała, pewnie żeby lepiej było, gdybym Was była zwołała“ usprawiedliwiała się dziewczyna,

On zaś złożywszy ręce, zrobił taki ruch, jakby ją chciał prosić, żeby milczała. Poczem poszedł do okna i zapatrzył się gdzieś w dal. Widziała że jest jakiś ogromnie wzruszony i zajmując się dalej swoją pracą, nie oglądała się więcej na niego.

Była już zgoła u końca ze swoją robotą gdy Andrzej podszedłszy do niej, podał jej gęsto zapisany papier i ukłoniwszy się jej, tak, jak się jej zawsze kłaniał, gdy byli sami, szybko się oddalił.

„Nie dziwcie się proszę“ — było napisane na cedulce — „ani mojemu wzruszeniu, ani też wogóle mojemu zachowaniu. Znalazła się niespodzianie w rękach waszych rzecz, której znalezienie jest dowodem, iż tam w górze, gdzie nieprawości nasze są zapisane, znajduje się przeciwko mnie skarga, której nigdy nic, nijak zmasać nie jest wstanie. Zgoła żebym sobie

życzył, żebyście mnie zrozumieli i wiedzieli o co tutaj chodzi. Gdybym śmiał, to najchętniej-bym się Wam ze wszystkiem zwierzył, lecz pocóż ranić Wasze serce, i zresztą jakbyśmy potem byli wstanie żyć dalej razem z sobą pod jednym dachem? Wiem, żebym w ten sposób dużej doznał ulgi, lecz na ulgę tą ja nie zasługuję. Dla mnie jest postanowione cierpieć tylko i milczeć.

Kilkakrotnie znowu na nowo czytała dziewczyna zapisany papier, i nawet podczas pracy myśli jej zajęte były przeczytanemi słowami. Było jej Andrzeja niewymownie żal. Od początku dostrzegąca już ona u niego że go coś gniecie, niewiedziała jednak coby to było i sądziła, że przyczyną jego wewnętrznego bólu jest jego kalectwo. Teraz dopiero zrozumiała że była to inna choroba i tkwiła gdzieś głęboko i nazywała się wina. Że w świecie nic nie było jej wstanie zmazać, to prawda, ale krew Jezusa Chrystusa, to owszem, ona go od niej oczyścić mogła. O jak chętnie byłaby mu o tem powiedziała.

Dlaczego nie mógł się nikomu z tem zwierzyć? Kto mu zakazał? Żeby jej trudno było potem żyć z nim pod jedną strzechą? Lecz jakże teraz żyć ma z nim pod jedną strzechą, gdy wie jak cierpi a nie może mu pomóc?

Nie tylko dziś, ale i w następne dni o niczem innym myśleć nie mogła dziewczyna, jak tylko o losie nieszczęśliwego Andrzeja, bez względu na to, czy go widziała lub nie. Modliła się za niego bez ustanku.

Wreszcie we czwartek wieczorem, gdy tyle i tyle cudownych słów o łasce Bożej ludziom w Chrystusie Jezusie ofiarowanej w Bożem Słowie wyczytała, uzyskała w duszy pewną swobodę, ba nawet rozkaz, że może, nawet że powinna go do tego nakłonić, by cierpieniem swoim wewnętrznym z nią się podzielił.

Ponieważ i tak zasnąć nie mogła, wzięła więc płaszcz i wyszła pocichutku z domu w pole. Była piękna, księżycowa noc wiosenna.

Dookoła głęboka panowała cisza. Dziewczyna szła dalej i dalej i wkońcu usiadła sobie na ławce nad jazem. Tuż, głęboko u jej stóp, kłębiła się woda spieniona, odpływając wreszcie swem korytem ku wsi, a później znowu dalej i dalej — aż do morza. Młyn stał.

„W tą właśnie noc, przed dawnymi wiekami rozpoczęły się cierpienia Jego, tego Baranka Bożego“ — pomyślała u siebie w głębokiej zadumie pogrążona dziewczyna, Siedziała zapałtrzona w dalekie, srebrnym blaskiem księżycyca oblane wzgórze. „Pewnie i owej pamiętnej nocy taksamo świecił księżyc nad Górą oliwną i do ogrodu Getsemane, na miejsce gdzie uczniowie spali i tam, gdzie On, ich i nasz Pan

i Zbawiciel ciężki bój staczał tak, że krople krwi występowały na Jego czoło. To wszystko dla mnie, dla mnie, aby mi odpuszczony był mój grzech, aby mi był dany pokój, aby mi dane było wieczne życie". Przepelniona takimi myślami, chyliła się tutaj dusza dziewczyny w pokorze i uwielbieniu, do stóp tego Baranka Bożego.

Nagle zerwała się. W pobliżu bowiem dał się słyszeć odgłos kroków. Obejrzała się i rozradowana jej dusza zawołała: „Andrzej:" Sam Pan Bóg jej go tu teraz posłał. On jest nieszczęśliwy, smutny, będzie mu więc mogła wśród tej cichej, pamiętnej nocy opowiedzieć to, co się kiedyś stało, jak to Boży Syn i za Jego grzech cierpiał, jak i za Niego swą duszę położył i że Bóg już dziś niczego więcej od nikogo a więc ani od niego nie żąda, prócz wiary i jedynie wiary w zasługę Jezusa Chrystusa.

„Ach, i wyście tutaj Andrzej?" odezwała się do niego, gdy się pozdrowili, robiąc mu obok siebie miejsce na skale. „Prawda jaka to przepiękna noc i jaka pamiętna?"

Skinął głową i usiadł sobie nieco niżej. Usiadł w ten sposób, że światło księżycy z przodu na niego padało, mogła więc z nim rozmawiać i na niego patrzeć. Nie czekała aż on rozpocznie, wiedziała, że mu pociechy potrzeba, chciała mu ją więc podać tak jak potrafi.

Najprzód powiedziała mu wszystkie swoje myśli, jakie ją przed chwilą napełniały. Potem próbowała namalować mu przed jego duszą, cały przebieg i obraz ucierpienia Chrystusowego, jak się ono rozpoczęło w Getsemane i skończyło na Golgocie. Widziała jak słuchał jej z całą uwagą. Często podnosił oczy i spoglądał w jej smutkiem przestonięte oblicze.

„Jak wielki jest ten — nie nasz, jak mówiliście, — ale mój grzech, widzę i rozumię dopiero teraz, widzę z tego, gdyż aż Jego, Bóże Syna było potrzeba, by grzech ten został zglądzony,” rzekł do niej, wyrażając te słowa w swój sposób, znakami, poczem schylił głowę. Nad jazem nastąpiła cisza.

Złękła się dziewczyna widząc, że zamiast przynieść mu pociechę, ulgę, jeszcze więcej go zasmuciła.

„Andrzeju, słuchajcie, On już wycierpiał. Wielki był grzech, to prawda, lecz wielka była i zapłata. Pan Bóg dwa razy karać nikogo nie będzie” rzekła głosem przyciszonym, pełnym jednak głębokiego przekonania, że prawdą jest to, co do niego mówi.

Znowu podniósł głowę. Myślicie, że to prawda, że wszystko zostało wykonane, Bóg że już więcej gniewać się nie będzie?”

„Tak, to jest prawda. I Wy byście także nikogo dwakroć nie karali.”

Nawał dziwnych uczuć wypełniał duszę młodziana, z pośród których wylaniała się i nad

wszystkiemi innemi zapanowała jedna wielka myśl: „Wszystko już wykonane. Pomiędzy mną i Bogiem jest już pokój, wieczny pokój.”

— „Haniu, to w takim razie niech się już stanie co chce, choćbyście mnie i zdradzili — a wiem, że tego nie zrobicie. Chociażbyście się później odemnie zupełnie odwrócili, ja mimo wszystko, muszę Wam powiedzieć, kto to obok Was siedzi, Wy mi zaś potem raz jeszcze powtórzycie, że krew Jezusa Chrystusa naprawdę jest wstanie zmyć ze mnie mój grzech”.

„O jednak, jednak mnie Pan wysłuchał!” zapławsza w duszy dziewczyna.

Szczególne było to wyznanie, przy którym głosu żadnego nie ustyszałaś. Lasy i potoki okoliczne nie mogły go z własnym szumem swoim połączyć, tylko dnie tam gdzieś, na jednego jedyne go serca ono spoczęło i wywołało w niem uczucia, które pozostaną tam tak długo, dopóki ono uderzać nie przestanie.

* * *

„Ja nie byłem od początku czeladnikiem u młynarza Koszyny tak, jak i on nie zawsze był wiejskim młynarzem.

Ojcowie nasi mieli obaj duże młyny parowe. Ja skończyłem politechnikę w L., zdałem inżynierski egzamin, następnie zgłosiłem się do wojska, i w stosunkowo dosyć krótkim czasie dosłużyłem się stopnia oficerskiego.

Życie wojskowe, pełne próżnego blasku, płytkie, o powierzchownej chwale, tak bardzo mi się spodobało, jak bardzo mi się dzisiaj brzydzi.

Pieniądzy, miałem zawsze z domu tyle, ile tylko sobie życzyłem. Byłem jedynym synem, najmłodszym z rodzeństwa, siostry wszystkie już były wyszły za mąż tak, że ojciec zawsze potrafił dawać mi na wszystkie moje zachcianki i stąd też przyjaciół, miałem całą gromadę,

Byliśmy wszyscy jednacy bezbożnicy. Żyliśmy z dnia na dzień, i żaden człowiek nijakiego z nas nie miał użytku.

W tym samym czasie, prowadził ojciec mój proces z naszym sąsiadem Koszyną, ojcem tego, u którego mieszkam. Koszyna proces przegrał i ze zgryzoty w krótkim czasie umarł. Młyn odziedziczył syn, dosyć poważnie przez nas uszkodowany. Ja o całą tą sprawę wcale się nie troszczyłem, tylko tyle dowiedziałem się od adwokata, że Koszynie się stała krzywda. Naturalnie wtenczas, gdybyśmy byli przegrali, nie byłoby starczyło na moje lekkomyślne wydatki. Młody Koszyna jednak mi z okładem krzywdę tą odplacił, tak, jak to tylko on odplacić potrafi.

Pewnego razu, było to pod jesień, stał nasz pułk w miasteczku C. . . My, oficerowie, nudziłyśmy się i wyszukiwaliśmy sobie rozrywki

najróżniejszego rodzaju. Najwięcej z pomiędzy nas, popisывał się w tych pomysłach mój kolega Edward Zagórski. Przyjaźń pomiędzy nami datowała się od naszego wspólnego pobytu w P . . . — o ile może być mowa o przyjaźni, pomiędzy tego rodzaju ludźmi.

Pewnego razu, zaprowadził mnie do domu pewnego fabrykanta, niejakiego Herdy i tam przedstawił mi swoją narzeczoną. Bywaliśmy później często w tym domu, tak długo, dopóki nasz pulk nie wymaszerował z tego miasteczka. Ponieważ narzeczoną Edwarda tęskniła za wsią, zaprosiła ją więc siostra moja do nas, do naszego młyna, gdzie i ona wtenczas mieszkała.

Do dziś dnia niewiem, kto to spowodował, kto był temu winien, dosyć na tem, że w krótkim czasie rozmaite złe języki wzbudziły podejrzenie w sercu mojego kolegi Edwarda, jakobyśmy ja i moja rodzina dokładali wszystkiego, żeby jego narzeczoną stała się narzeczoną moją. Bóg niebieski który wszystko zna i wszystko widzi, wie, że ja w tej sprawie byłem zupełnie ale to zupełnie niewinny. Pewnego wieczoru, przyszedł Edward do nas i w rozgoryczeniu, robił swojej narzeczonej ciężkie wyrzuty i to w taki sposób, że obraził ją tak dalece, że wróciła mu pierścień i cały swój stosunek z nim zerwała. Od tej pory powziął Edward do mnie niechęć i gdzie tylko mógł, mi dokuczał, i we wszelki możliwy sposób mnie

oczerniał, aż wreszcie doszedł tak daleko, że mnie publicznie obraził.

Nie znałem wtedy Chrystusa, i ztąd też nie wiedziałem, że On rozkazuje odpuszczać, przebaczać tym, którzy nam krzywdę wyrządzają i zazdrosny o swój oficerski honor, wyzwalam przeciwnika na pojedynek.

On wyzwanie przyjął. Wszystkie wysiłki naszych kolegów, żeby nas pogodzić okazały się daremne.

Naznaczyliśmy sobie miejsce w pobliżu młyna Koszyny. — O gdyby to w ową noc przed pojedynkiem, był ktoś do mnie przyszedł, gdy spacerując, rozmyślałem nad tem, jak zastrzelić tego, który mnie już tyle razy obraził! Gdyby był przyszedł i wytłumaczył mi, że dziś jestem wprawdzie obrażony, zelżony ale niewinny, potem jednak będę winny i splamiony krwią bratnią, jakże wielką byłby mi wyświadczył przysługę! Niestety, nie było nikogo, i gdy świtać poczęło, jam wstał i wyszedł.

Na oznaczonym miejscu zjawili się świadkowie, lekarz a wreszcie przyszedł i on. Gdyśmy już z bronią w ręku naprzeciwko siebie stali, przyszło mi nagle na myśl, iż jest to przecież mój kolega a cała ta sprawa jest taka błaha i niegodna tego, abyśmy mieli w taki sposób występować przeciw sobie i szukać wzajemnej zguby. Obudziło się we mnie sumienie. Przyjaciele raz jeszcze zrobili próbę, żeby nas pogodzić. W tej chwili opuściłem rękę i zro-

biłem ruch, żeby iść, podać przeciwnikowi rękę i pogodzić się z nim. On jednak, spojrzawszy na mnie gniewny, rzekł hardo: „Między nami niema pojednania, ja tego co powiedziałem nie odwołam. Niech zadecyduje broń.”

Zadecydowała więc broń; Daliśmy strzały obaj i obaj trafiliśmy. Jego, śmiertelnie ranionego zawieziono do miasta Z... mnie napozór martwego, do młyna, w pobliżu którego cała ta smutna historia się odegrała.

Nie wiedząc zupełnie nic, co się ze mną stało, przeleżałem w domu Koszyny chory przez pół roku.

W międzyczasie sprzedał Koszyna swój młyn, wynajął inny, w dosyć odległej okolicy i zabrał mnie ze sobą. Później, gdy wróciłem do zdrowia, zakupił ten tutaj, jak widzicie położony zupełnie w innej części kraju i przyprowadził mnie znowu z sobą, lecz pod innym nazwiskiem, jako swojego czeladnika. W taki to sposób miałem u niego sposobność poznać wartość dobrze użytego życia.

Choć Koszyna nigdy mi nie powiedział że zem zabił swojego kolegę, z łatwością to jednak wywnioskowałem z tej troskliwości, z jaką mnie ukrywał. Wiem, iż gdy mnie odnajdą, zostaną ukarani więzieniem i utratą stopnia oficerskiego.

Co się mnie tyczy, to ja jestem już umarły dla świata. Moi własni mnie już dawno opła-

kali. Prawdziwem dobrodziejstwem, była dla mnie praca. Tylko w pracy byłem wstanie zapamiętać o tem, że ręce moje są krwią brata splamione.

W chorobie, utraciłem jeden z najdroższych darów Bożych, jakie człowiek posiada, mowę. Co byłbym począł pomiędzy ludźmi będąc naznaczony takim piętnem Kainowem? Te usta, które gdyby były wypowiedziały słowo pojednania, byłyby mogły niem zachować przy życiu człowieka, ponieważ nie uczyniły tego, nie miały już więc żadnego innego wypowiedzieć słowa. Koszyna doprowadził mnie do tego przekonania, że wtenczas, gdy człowiek zaprzestanie czynić źle a zacznie czynić dobrze, że z tą chwilą Pan Bóg jest pojednany. i że to wystarczy. Ja chociaż wprawdzie szczęśliwy nie byłem, to jednak przynajmniej czasem miałem te przyjemne uczucie i pociechę, że choćby trochę, tyle, ile potrafię żyję z pożytkiem dla otoczenia.

Nieraz bywało, że gdy zmarły mój przyjaciel nocami zjawiał mi się przed oczyma wtenczas wstawszy rano z pościeli, prosiłem mojego opiekuna aby mi pozwolił iść i zgłosić się u władz, że kara więzienna sprawi mi ulgę.

On jednak o tem ani słyszeć niechciał. „Szkoda każdego bez użytku, bez celu strawionego dnia; wszyscy we więzieniach pozamykani ludzie, skazani są na bezcelowe życie, na po-

wolne umieranie. Jeżeli jest twój przyjaciel martwy, nałóż wtedy na siebie tą największą karę: milcz i czynź dobrze. Utratą czci i wolności nie naprawisz tego, co się kiedyś złego stało.

Cóż miałem mówić. Musiałem mu przyznać słusność. I tak mijał czas, aż wreszcie przyszlście Wy, przyszli i przynieśli Waszą Księgę ksiąg. Z nią weszło mi nowe światło. Z niej to, z tej Księgi poznałem Boga i poznałem wielkość mojego grzechu, lecz poznałem zarazem jeszcze i coś innego, dowiedziałem się mianowicie i tego, że ten wielki i dobry Bóg mówi: „Choćby były grzechy wasze jako szarłat dwakroć farbowany, jako śnieg zbieleją.” . . . „Obróćcie się do Mnie, abyście zbawione były wszystkie kończyny ziemi.” I teraz, teraz co robię? Zwracam oczy swoje do Niego. Wiem czuję to, że nauka Koszyny się nie ostoi. Ona jest dobra może dla niego, dlatego że on jest człowiekiem uczciwym, ale dla mnie? — Ja, ja jestem mordercą, Wiem, widzę to, że nie wystarczy, przestać źle czynić, a czynić dobrze. Przeszłość, ta przeszłość musi być jakoś uporządkowana, oczyszczona, inaczej dusza wcale niezazna. pokoju, znosić będzie musiała dalej ustawiczny, wewnętrzny ból, wewnętrzne cierpienia.”

Ręce, zastępujące u opowiadającego usta, zmęczone opadły na łono, a głowa jego schyliła się na piersi, z oczu trysnęły łzy, łzy obfite, jakie młodość bez powodu, a mężowie w sile

wieku, bez wielkiej przyczyny nigdy nie wylewają, te łzy spłynęły teraz po bladych jego policzkach.

Dziewczyna, którą kosztowało to dosyć dużego wysiłku, by wszystko, co było znakami mówione rozumiała, i niejednego tylko domyślić się musiała, sam koniec jednak dobrze pojęła, bo — rzecz to wiadoma — serce delikatne, współczujące, dla serca smutnego zawsze znajdzie zrozumienie. Rozplakała się wreszcie razem z nim. Zapłakała nad jego wniwecz obróconą piękną młodością, nad jego życiem strawionem bez Boga, bez Chrystusa, nad jego grzechem, który więcej nie da się wycofać, nad jego nieszczęściem i boleścią, jaką cierpiał z tego powodu.

Wreszcie uspokoił się obaj. On, ponieważ zauważył że ona również płacze i to ukoili jego ból, ona, ponieważ się opamiętała.

„Haneczko, Wy płaczecie nademną? Wy mnie nie potępiacie? Załujecie mnie?”

„Tak, Andrzej, żal mi Was, bardzo żal. Potępić? Jakżeby człowiek miał potępić kogoś, kogo Chrystus nie potępia, kogo On z win oczyścił, usprawiedliwił?”

— „Myślicie więc, że Chrystus i mnie oczyścił, usprawiedliwił?”

„Tak, On, który już więcej nie umiera, a śmierć Mu już więcej nie panuje. On umarł raz za Wasz grzech i za grzech całego świata,

a teraz wzywa do siebie wszystkich pokutujących i mówi do nich. „Ja, Ja sam gładzę przepęstwa twoje dla siebie, a grzechów twoich nie wspomnę więcej.”

Dziś możecie temu uwierzyć i z całym spokojem temu zaufać, Pan nasz Jezus Chrystus cierpiał i był zabity i to tylko dlatego ponieważ Wyście zabili.”

Młodzian zerwał się nagle z ziemi, przycisnął obie ręce do piersi, zrobił jeszcze kilka ruchów, których dziewczyna z powodu ich szybkości nie zrozumiała i ukłoniwszy się jej, prędko się oddalił zostawiając ją samotną,

* * *

Teraz się mu już nie dziwiła, że umie się tak ładnie, po pańsku, kłaniać. Nie napróżno się jej wydawało dziwnem, to jego zachowanie, takie wprost niezgadające się z zawodem zwykłego czeladnika młynarskiego.

— „Biedny Andrzej! I on taksamo jak i ja jest na wygnaniu. Jego własni gdzieś daleko, daleko są od niego i pewnie martwią się nad jego losem. Ale mimo wszystko a wszystko jest przecie ktoś, kto choć coprawda dopuścił, że się stało jak się stało, to jednak nie opuścił go, idzie z nim i myśli o nim, a to jest On, Chrystus Jezus, którego on przedtem nie znał.

Upadła dziewczyna na kolana i w gorącej modlitwie prosić poczęła Boga, żeby sie pozwo-

lił biednemu temu wygnańcowi znaleźć, poznać i żeby dał mu skosztować słodyczy, swego błogostawionego wezwania: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni a Ja wam sprawię odpocznienie!”

Ja wierzę Panie, mocno temu wierzę, że Ty dasz się mu napewno znaleźć i że dasz mu sam w Sobie Swoje odpocznienie.” Na tem zakończyła modlitwę i powstała z wilgotnej ziemi, by wracać do domu.

„A ja znowu myślę, że czas już najwyższy aby iść spać i nie chcieć za jedną noc zmarnować zdrowia na całe życie, dla jakichś nierozumnych marzeń, które i tak nie przystoją inteligentnej osobie, i żadnego rzeczywistego nikomu nie przynoszą użytku” odezwał się niby w odpowiedzi, jakiś surowy głos za jej plecami.

Dziewczyna przelekła się tak głosu, jak i Koszyny, gdy zniemacka zjawił się poza nią i surowym, gniewnym spojrzał na nią wzrokiem.

„Już, już ide panie” odpowiedziała pokornie. „Dobranoc!”

„Dobranoc!” brzmiała odpowiedź. Teraz już jednak dużo uprzejmiej, choć zawsze jeszcze chłodno. Hania jednak nie zwracała na to uwagi.

IX.

Nadszedł Wielki Piątek.

Z poranku snuły się po wierzchołkach gór mgły, skąd zwolna spadały w doliny tak, że gdy je tam później takie rozmaite, nad wpeł wiosennym światem wschodzące oświeciło słońce, wtenczas one barwne, wspaniałe, wyglądały jak kosztowny welon królewskiej utkany oblubienicy

Głęboki głos dzwonu dochodzący skądś, z jakiejś wieży kościelnej, brzmiał tak tęskno, jakby i on skarżył się nad tem, co tam hen kiedyś dawno stało się na Golgocie, że cierpieć tam i umrzeć musiał On, święty Baranek Boży, Jezus Nazareński.

Pod lasem w pobliżu swej chatki, stała Ziemiańska, zapatrzona w piękny, przed nią się rozpościerający wiosenny świat Boży. Była odświętnie ubrana i czekała na Hanię Stefanówną. Umówiły się bowiem wczoraj, że dziś razem pójdą do kościoła. Stała pogrążona w myślach o tem, co dzień ten przypominał światu, i o czem przed chwilą czytała w domu.

„Przypomniały się jej w tej chwili słowa: „Tędy wzięli Jezusa i wywiedli Go” Przed oczyma duszy zjawił się jej cały ten pochód. Zdawało się jej, jakby Go widziała iść hen, tą krętym szlakiem wijącą się drogą wiejską. W wyobraźni swej widziała Go idącego z oną cieniową koroną na głowie, z obliczem posinia-

lem, całym krwią zalanem. Wyobrażała sobie jak za idącym, krwawe pozostawały ślady i jak tłum, tłum zły, śmierci Jego chciwy, po krwi tej deptał, tłocząc się naprzód ku miejscu stracenia.

Nie należała Ziemiańska do mnóstwa tych, którzy historję tą już po tyle i tyle razy czytali, i dla których stała się ona już czemś powszedniem, nieciekawem. Ona czytała to opowiadanie może czy nie po raz pierwszy i wywarło ono na nią ogromne wrażenie. Pomyślała u siebie: Jako dobrze, że mimo iż każdy piątek to wielkie wydarzenie przypomina, że ten jeden poświęcony jest wyłącznie temu, aby w nim ludzie zastanowili się nad sobą i nad tem, co Boży Syn dla nich wykonał.

„Panie! ach Panie! Jakże ciężki był ten Twój trud, jakże ciężkie to Twoje umieranie któremeś za mnie, za mój grzech na krzyżu umierał!” westchnęła Ziemiańska, a dwie duże łzy spłynęły po jej policzkach.

„Bronko, co ci się stało, czemu płaczesz?” ozwał się nagle jakiś znany głos poza nią.

Opuściła ręce. Tuż obok niej, ni stąd ni zowąd zjawiała się Rożkowa, siedlaczka z Dolnej wsi, starsza już kobieta. Z ubrania jej codziennego widzieć było, że niema zamiaru pójść na nabożeństwo. Z twarzy zaś wyczytać było można, że trawi ją jakiś ukryty, dosyć już długo tajony ból.

„Gdzieście się tutaj wzięli cioteczko?”
witając się z nią spytała Ziemiańska.

„Ach, ot tak umyślnie przyszłam do ciebie. Chciałam się zapytać, czy potrafisz uszyć tą suknię naszej synowej do przyszłej niedzieli?”

— „Owszem że uszyję cioteczko. Ale ja widzę żeście jacyś smutni, co Wam takiego dolega?”

— „Ach, doprawdy nie jest mi wesoło,”
lecz powiedz wprzód, czemuś Ty płakała?”

— „I jakże Wam to mam cioteczko wytłumaczyć. Wy prawda wiecie jaki to mamy dziś dzień,”

— „O, pewnie że wiem. Dlaczego miałabym niewiedzieć?”

— No, i czyście Wy nigdy tak naprawdę poważnie nad tem się nie zastanowili, jak ten Pan Jezus, On Boży Syn za moje i za wasze grzechy cierpieć musiał?”

— „Ale słuchaj Broniu! Ja tego w żaden sposób zrozumieć nie mogę, poco ten Chrystus Pan miał właśnie za mnie umierać? Ja tyle o tem się już od mego dzieciństwa nasłuchałam w domu, w szkole, w kościele, ale nijak tego pojąć nie mogę, na coby się mi to miało przydać, że On tam w taki okropny sposób umarł na krzyżu?”

— Tak cioteczko, do niedawna to ani ja tego nie rozumiałam, dziś już to jednak rozumię.”

— „A więc jak to rozumiesz? spytała siedlaczka, chwytając w swe spracowane dłonie ręce dziewczyny,

— „Wiecie ciciu, ja poznałam nareszcie i wiem, że jestem grzesznicą taką, jak tamta niewiasta, która nogi Jego łzami umywała. Wiem żebym musiała na wieki zginąć i nigdy ani Jego samego, ani królestwa Jego nie oglądać, gdyby On nie był za mnie, za mój grzech, duszy swej na krzyżu położył. Wiem o pewnym ustępie biblijnym, gdzie jest powiedziane: „Który ani Synowi Swemu jedynemu nie przepuścił, ale Go za nas wszystkich na śmierć podał.” „Bóg niebieski nie odpuścił swojemu Synowi, natomiast odpuścił mnie. Tak ja to rozumię cioteczko.

— „I czy wierzysz ty temu? Broniu, czy ty to wiesz napewno?”

— „Owszem, wiem i wierzę. Chwała Bogu! Wiem, że krew Jezusa Chrystusa, ta krew, która w ów Wielki Piątek ściekała z krzyża na Golgocie, oczyszcza mnie od wszelkiego grzechu.”

— „Broniu, nie gniewaj się, że się ciebie jeszcze o coś zapytam: Popatrz przecie to, coś dawniej robiła i zrobiła nigdy już nie potrafisz naprawić, jakże więc możesz myśleć i wierzyć, że ci to Chrystus Pan odpuścił?”

— „Cioteczko, a właśnie to jest ten wielki cud. O, ani tamten złoczyńca na krzyżu także

nie był już w stanie nic naprawić, co był zrobił złego, a jednak Pan Jezus zabrał go zaraz ze sobą do raju. Albo owa wielka grzesznica, ona taksamo nigdy, przenigdy nic z tego, co zrobiła cofnąć, zmienić już nie była wstanie, a przecie Pan Jezus wszystko jej odpuścił i dopomógł jej, że uwolnić się mogła z niewoli grzechu."

— „A więc byłoby to jednak tak, jak to ten Koszyna uczy i mówi: Przestańcie źle czynić, a uczcie się dobrze czynić."

— „Oj cioteczko, tak to nie jest," zaprzeczyła Ziemiańska. Do chorego napróżnobyście mówili: przestań chorować a chwyć się pracy, Człowiek chory potrzebuje lekarza, a dusza chora, grzesznik, Potrzebuje Zbawiciela. Ja Wam tego nie umiem tak dobrze wytłumaczyć, jak bym chciała, lecz gdybyście sobie gdzieś tam u siebie w domu sam na sam ukiękli i poprosili tego Pana Jezusa, a powiedzieli: Panie Jezu, proszę Cię racz i mnie tej Swojej łaski użyzczyć, zachciej i mnie z grzechów moich oczyścić! to On by Wam to z pewnością zrobił, a głęboki pokój i wielka radość i siła napęłniłyby Wasze serce. Przypomina mi się jedno piękne słowo biblijne, czytałam je i umiem z pamięci: „Jeślibyśmy wyznali grzechy nasze, wiernyć jest Bóg i sprawiedliwy, aby nam odpuścił grzechy i oczyścił nas od wszelkiej nieprawości."

— „O, Hania już idzie! Idziemy razem do kościoła. Wy nie pójdziecie także?”

— „Nie mogę, bo nasi idą. Zresztą tyle, ileś mi ty tutaj powiedziała, tyle mi ani w kościele nie powiedzą. Ja wrócę już i pójdę sobie z powrotem miedzami.”

*
*
*

— „Chory człowiek potrzebuje lekarza, a grzesznik? — grzesznikowi trzeba Zbawiciela.” Te słowa ciągle powtarzała u siebie samotnie przez role i łąki do domu powracająca kobieta. „A więc jest to takie” — rozważała u siebie — „żeby móc rozpocząć nowe życie, trzeba żeby to, co było zrobione złego zostało wprzód uporządkowane, zapłacone. I właśnie On, Pan Jezus Chrystus to był, który własną Swą krwią na krzyżu przelaną to uporządkował, za te moje grzechy zapłacił. A ja? — ja Go nigdy jeszcze dotąd o to odpuszczenie ani nie prosiłam, ani Mu niczego jeszcze nie wyznałam. Zrobię to jednak zaraz, skoro tylko do domu powrócę.”

Wróciła niewiasta do domu. Był próżny nie było w nim nikogo, — wszyscy poszli do kościoła. Znalazłszy się więc zupełnie samotna, tak jak była, jak się czuła, tak poszła w modlitwie do Pana! A ponieważ On grzechem obciążonych i pokutujących nie odrzuca, owszem ich

woła do Siebie, więc i jej nie odesłał z próżnem sercem.

Gdy domownicy wrócili z kościoła do domu, stał już obiad gotowy na stole, a gospodyni witała przybyłych z taką rozpromienioną, radosną twarzą, że wszyscy zdziwieni jeden na drugiego spoglądać zaczęli, nic nie rozumiejąc z tego, co zaszło,

„Co się z Wami stało mamusiu, że Was znów naraz takich wesołych i szczęśliwych widzimy? spytała się synowa.

— „Ach dzieci, ja wam powiem, słuchajcie! Jestto tak, jak gdyby naprzykład gdzieś, kogoś w lesie ciężkie przywalilo drzewo, a długo, długoby nie było nikogo, ktoby biedaka ratował. Czy nie ucieszyłby się nieszczęśliwiec, gdyby wreszcie przecie zjawił się ktoś, mocny i dobry, ktoby go wydobył i od niechybnej uratował śmierci? Tak było i zemną. I na mojem sercu leżał taki okropny ciężar, a ten ciężar został ze mnie, przez Syna Bożego zdjęty. Teraz to już rozumiem dlaczego Wielki Piątek święcimy. W ten dzień bowiem umarł On Baranek Boży który zglądził grzech świata i zglądził i mój grzech.

Nic z tego nierozumiała reszta rodziny dookoła stojąca. Spoglądali jeden na drugiego, niewiedząc co o tem myśleć. Mimo że wysłuchali w kościele całą historję o męce i śmierci Chrystusowej, przecie nie zrozumieli tego, co

najważniejsze, mianowicie że ten Jezus. ten Syn Boży dlatego umarł, aby ich właśnie, ich zbawił, a zbawił już dziś i nie dopiero kiedyś po śmierci. Nie zrozumieli, że było to wydarzenie, które miało znaczenie nie tylko dla owego czasu, ale że ma znaczenie dla wszystkich czasów i wszystkich ludów i narodów aż do skończenia świata,

W międzyczasie wrócili z nabożeństwa także i mieszkańcy młyna zarzeckiego, a razem z nimi i Ziemiańska. Prócz starej Sommerowej byli w kościele wszyscy: Koszyna, Andrzej, Hania, terminatorzy. Dziś jednak wracali wszyscy jacyś głęboko zamyśleni, niewiele z sobą rozmawiali. Ziemiańska spoglądała od czasu do czasu to na tego, to na owego z nich, tu i tam odezwała się coś do chłopców, ci jednak jakoś nie śpieszyli się z odpowiedzią, spoglądali na Koszynę, który — co u niego nigdy się nie zdarzyło — idąc, ani słowem do nikogo się nie odzywał. Choć bowiem był Koszyna człowiekiem poważnym i małomównym, to zawsze jednak w towarzystwie, idąc z ludźmi, swobodnie, uprzejmie z każdym rozmawiał. Musiał więc mieć dziś jakąś bardzo wielką przyczynę, z powodu której milczał i nie miał ochoty do rozmowy. Hania już z rana, gdy szli do kościoła była jakaś cała w myślach pogrążona. W kościele wcale ani nie śpiewała. Ziemiańska, to zauważyła. Zauważyła, spoglądając ku niej, że się przez cały czas w głębi swej duszy modli-

ła. Przeczowała kobieta że musiało zajść coś szczególniejszego w młynie, o czym nikt nic mówić nie chce.

I owszem zaszło coś, i to zaraz z rana, coś między majstrem i czeladnikiem. Zaraz z rana po śniadaniu wyszli z sobą razem do pobliskiego lasu tak, jak to zawsze w niedzielę i święta mieli we zwyczaju. Gdy wrócili, — a nie wrócili razem, — miał Andrzej jakąś niezwykle smutną twarz i oczy upłakane. Śnać, że Koszyna się na niego gniewał. Ani jeden ani drugi nie zauważyli, że w lesie nie byli sami, że był tam i jeden z terminatorów który ciął sobie w pobliżu pręty brzoźowe, i słyszał przystem, jak Koszyna rzekł do Andrzeja:

„Wiesz, dziwię się bardzo, żeś to wszystko opowiedział dziewczęciu, całą tą bądź co bądź poważną tajemnicę, którejsmy potąd z taką troskliwością strzegli.”

Na to Andrzej odpowiedział coś, co, tego chłopiec nie rozumiał.

— „Ciężar, ciężar,” odparł Koszyna z odcieniem gniewu w głosie. Teraz ten ciężar myślisz będzie mniejszy? Jeżeliśmy sobie brzemie jakieś nierozważnie na plecach włożyli, to powinniśmy też potem znaleźć w sobie tyle męstwa, żeby go nieść i unieść.”

Czeladnik wstrząsnął głową, z czego uczeń wynioskował że rzekł:

„Nie, ja go dłużej nieść już nie potrafię.”

— „A więc jeżeliś ty przyrzeczenia twego nie dotrzymał, i ja również swego dotrzymać nie jestem zobowiązany. Po świętach wielkanocnych napiszę ojcu twojemu list, żeby sobie przyszedł po ciebie. Aż dotąd żyłem nadzieją że uda mi się uratować człowieka, i przywrócić go jako użytecznego członka społeczeństwa. Niestety, człowiek bez wszelkiej energii nigdy nie byłby użytecznym. Dobrze będzie jeśli się wrócisz tam, skąd kiedyś przyszedłeś. Szkoda dalszej zwłoki, jeżeli ona jest daremna i nie prowadzi do celu.“

Andrzej nic już więcej na to nie odpowiedział, tylko jakby się nogi pod nim załamały, usiadł bez sił, na najbliższym, obok niego się znajdującym pniu, oparł głowę na rękę i wreszcie, gdy młynarz wcale się ani na niego nie obejrzawszy odszedł, rzucił się obok tego samego pnia na kolana, objął go rękoma i położywszy nań głowę, rozplakał się tak rzewnie, że chłopiec widząc to, najchętniej razem z nim byłby także płakał.

Dokąd to chciał go ten majster odesłać i dlaczego? Przecie on był taki dobry i posłuszny.

Niestety, nikt na to pytanie nie mógł dać chłopcu odpowiedzi. Zwierzył się w domu z tem co widział i słyszał koledze swemu i Hani Stefanówniej, opowiadając im, że się majster z jakiegoś powodu na czeladnika gniewa i że czeladnik płakał.

Chociaż przy obiedzie Koszyna tak jak zwykle swobodnie rozmawiał, nikt jakoś nie czuł się dobrze, prócz jednej babci, która o niczem nie wiedziała, ponieważ Hania poleciła chłopcom, by jej o tem co zaszło, wcale ani słówkiem nie wspominali.

Czuli wszyscy że nie jest wszystko tak, jakby być powinno i to im dolegało.

X.

Po obiedzie zamknął się Koszyna w swoim pokoju, babcia zaś razem z chłopcami poszła do kościoła. Andrzej wzięwszy z sobą Biblię wyszedł gdzieś w pole. Hania zajęta była sprzątaniami w kuchni. Gdy skończyła pracę, usiadła i chciała zabrać się czytania, czegoś, lecz nie mogła. Była jakby zmuszona myśleć nad smutnem położeniem Andrzeja.

Pan Koszyna rozgniewał się na Andrzeja bez przyczyny. Obawiał się bowiem, że ona ich zdradzi. Andrzej zaś nie byłby się jej zwierzył, gdyby ona nie była go do tego spowodowała. Jeżeli Koszyna naprawdę teraz wyśle biedaka do domu, to on w ten sposób wpadnie w ręce władzy i, — jak sam powiedział — czeka go więzienie, a wszystkiego tego, ona stała się powodem.

To się nie powinno było stać. Andrzejowi bardzo była potrzebna opieka pana Koszyny.

On także był na wygnaniu, podobnie jak ona, ba jego położenie było jeszcze gorszem. Ona bowiem odejśćby mogła, mógłaby kiedykolwiek by chciała, cały świat stał dla niej otworem. Mogłaby iść, gdziekolwiek by chciała, jej nikt prześladować, więzić nie będzie, — chyba żeby ją dla Chrystusa samego uwięzić chcieli, a temu, to by się nie sprzeciwiała. U Andrzeja byłoby inaczej.

Postanowiła, że pójdzie i to teraz do pana Koszyny, da mu uroczyste przyrzeczenie iż dopóki żyć będzie, nigdy żaden człowiek od niej nie dowie się tego, co od Andrzeja usłyszała. Żeby zaś jej obecność nie przypominała im tego co zaszło, to ona zaraz po Wielkiej nocy odejdzie, i w ten sposób przywróci im przyjaźń i pokój dotychczasowy, jakie ich potąd razem łączyły.

Zastanawiając się nad tem i decydując o wykonaniu tego postanowienia, patrzyła, dziewczyna przez otwarte okno w dal, w ten śliczny, w słońcu wiosennem skąpany, w zieleń i kwiaty przybierający się świat. „Anno, dokąd ty pojedziesz?” odezwał się w niej jakiś tęskny, smutny głos. „Świat wprawdzie jest szeroki, ale nigdzie niema w nim dla ciebie domu.”

„Pójdę dokąd mnie Pan mój poprowadzi. Jeżeli się On tutaj o mnie troszczył i to w taki sposób, że mi naprawdę przykro, ztąd odchodzić, to postara się o mnie i nadal. Przez wiele ucisków wejść musimy do Jego królestwa.”

Stłumiła dziewczyna łyzy cisnące się jej w oczy i westchnawszy z głębi duszy do Boga, zapukała do drzwi pokoju młynarza.

Na wezwanie, „Proszę!” weszła. Koszyna siedział u stołu. Przed sobą miał papier i pióro lecz nie pisał. Odwrócił się, by zobaczyć kto przychodzi i trochę zaskoczony był zjawieniem się Hani.

„Bardzo przepraszam panie Koszyna że Wam przeszkadzam!” — zaczęła Hania gdy spojrzał na nią pytającym wzrokiem — „Przyszłam się Was zapytać, dlaczegoście się na mnie i na Andrzeja pogniewali?”

„I kto ci powiedział że się gniewam,” rzekł, chmurząc się trochę i podsuwając jej krzesło żeby sobie usiadła.

„Czuję że Was coś niepokoi. Kocham prawdę nadewszystko i widzę, żeście Andrzejo-wi wyrządzili krzywdę. Pozwólcie żebym Wam całą tą sprawę tak, jak to potrafię wytłuma-czyła.

„Dziewczyna oparła swą ładną, smukłą postać o poręcz krzesła i zaczęła opowiadać szczerze i poważnie, jak to przed kilku dniami w tym właśnie pokoju sprzątała i co zaszło wtenczas z ową szafą, ubraniami i cedułką. Powtórzyła — a młynarz jej wcale toku opowiadania nie przerywał — całą rozmowę jaką toczyła z Andrzejem, jak chciała się dowiedzieć prawdy, a to tylko dlatego, żeby go

mogła w jakiś sposób pocieszyć. Powiedziała i to, co wczoraj opowiadał i dlaczego — jej zdaniem — on, młynarz na niego się rozgniewał.

Gdy skończyła, w pokoju nastąpiła cisza. Młynarz siedział z głową ukrytą w dłoniach i milczał.

„Poświęciliście się tak bardzo dla Andrzeja,” — zaczęła znowu dziewczyna, głosem pełnym serdeczności — „jego to ojciec był snąć tym nieprzyjacielem, któremu chcieliście uczynić dobrze, on zaś, Andrzej, tym człowiekiem, któremu staraliście się uratować życie, o czemście mi swego czasu opowiadali. Pragnęliście stać się podobni Panu Jezusowi, zstąpić chcieliście w dół, aby ratować syna nieprzyjaciela Waszego. Dokończcie więc tego wielkiego czynu swego. Nie odsyłajcie go precz, nie wydawajcie w ręce władz, do niechybnie nań czekającego więzienia dlatego, że bolem wewnętrznym trawiony, zwierzył mi swą tajemnicę. Aby uchronić Was od ciągłej niepewności i obawy, ja Wam dam od siebie uroczyście przyrzeczenie. — Pan będzie mi świadkiem — że nigdy nic z tego co wiem nie zdradzę. Odpuśćcie mu proszę i zostańcie dla niego tem, czem byliście mu potąd. On Was kocha, szanuje i ceni nadewszystko, Jest mu tutaj u Was, w tem upokorzeniu daleko lepiej, niż byłoby mu w domu, wśród docinków własnej rodziny, która go nigdy rozumieć nie będzie.”

— „Słuchaj!” — odezwał się Koszyna, po małej chwili gdy umilkła dziewczyna. — „Nie znasz Andrzeja. On do dnia wczorajszego był tym, kim znałaś go ty i tutejsze otoczenie. Odtąd, gdy się już sam zdradził, odczuwa i będzie odczuwał swe poniżenie. Zresztą czy myślisz Ty sobie, że będzie on odtąd mógł tak żyć pomiędzy nami, jak to dotychczas było? Czy sądzisz, że każde spojrzenie w twą twarz nie będzie mu przypominało tego oficera, którego mundur i szabla wiszą gdzieś w szafie, a dyplom jego inżynierski gdzieś w biurku jego ojca się znajduje? Ta praca, która potąd była dla niego lekarstwem, od dziś będzie dla niego upokorzeniem.”

Rumieniec i bladość nawzajem się zmieniły na ładnej twarzy dziewczyny.

— „Możliwe, panie Koszyna. Tego jednak nie trzeba się lękać. Nietylko jemu, lecz i Wam widok mej osoby sprawiałby przykrość, a tego nie będzie. Mielicie u siebie potąd dwu wygnańców, którym wyświadczyliście dobrodziejstwo. Ponieważ teraz okoliczności tak się ułożyły, że odtąd wygnańcy ci obaj razem pod Waszą strzechą żyć nie mogą, jeden więc, rozumie się, musi ustąpić, odejść. Przyszłam Was więc prosić: Wybaczcie Andrzejowi, że odkrył mi swą tajemnicę, i nie piszcie do jego ojca. Oto skoro tylko święta miną, ja opuszczę Wasz dom i w ten sposób uwolnię Was obu od przykrego wspomnienia. Zła byłaby to z mej strony

dla Was podzięka, za wyświadczone mi przez Was dobrodziejstwo, gdybym do tego miała dopuścić, żeby Wasza piękna, między wami i Andrzejem, przyjaźń miała zostać zerwana, i mielibyście się z sobą przed czasem rozejść"

— „I dokąd chcesz iść, dokąd pójdziesz Haniu?" — spytał z pewnym drżeniem w głosie Koszyna, spoglądając przytem z niepokojem na dziewczynę — „Chcesz iść do domu?"

— „Do domu?" Łzy mimowoli zabłyśły w jej oczach — „Panie Koszyna, wiecie że świat jest wprawdzie bardzo, bardzo szeroki, lecz domu? domu dla mnie nigdzie na nim nie ma. Dziś nie jestem w stanie Wam jeszcze powiedzieć, gdzie się udam, lecz da Bóg — będę Go o to prosiła — w poniedziałek już Wam będę mogła powiedzieć, dokąd się obrócę. A teraz prawda, wybaczycie Andrzejowi, i nie będziecie pisać do jego ojca?"

Koszyna wstał i przeszedł się po pokoju.

„Nie wierzycie wprawdzie w Pana Jezusa Chrystusa jako w Syna Bożego" — trwożliwie dalej nalegała na niego dziewczyna, — „powieździeliście jednak sami, że dziś jest dzień pamiętki śmierci najlepszego człowieka na ziemi, jeżeli więc jest On wzorem Waszym to stańcie się proszę Was Jemu podobni w odpuszczeniu i w ofierze!"

„Nie proś!" rzekł przystawając naprzeciwko niej — „Dużo, dużo dla Andrzeja poświę-

ciem i nie żałuję tego, tej jednak ofiary, że-
bym ciebie puścił precz z mojego domu, z na-
szej doliny, precz z pracy, którąś wśród nas
spełniała, do obczyzny, pomiędzy złych, obrzy-
dliwych ludzi, ciebie z twoją młodością i pięk-
nością, bez jakiegokolwiek opieki, bez domu,
nie. tego nie zrobię. Ponieważ w nas obu jest
coś sobie podobnego, pewny więc jestem, żebyś
była w stanie poświęcić się tak, jak ja się by-
łem w stanie poświęcić i wiem, żebyś odeszła.
dlatego dowiedz się raczej całej prawdy. Nie
zniosę — chociaż mi zresztą nic na żadnym
człowieku nie zależy — żebyś mnie uważać
miała za człowieka twardego i Chrystusowi
wcale niepodobnego. Umiesz milczeć, znam cię
i wierzę ci, nie zdradzisz mnie. chociaż cię to
będzie kosztowało czasem dużo samozaparcia.
Lecz gdy przyjdzie pokusa, wtonces wspomnij
sobie, że kochałem Andrzeja bardzo i kocham
go, jakby swojego krewnego, jak swego naj-
młodszego brata i wciąż milczałem i czekałem,
wciąż zapierałem samego siebie, ażebym ura-
tował jego.

Słuchaj! Powiedziałaś przed chwilą, że
Andrzej ogromnie cierpi w tej świadomości, że
jest mordercą Edwarda Zagórskiego, i że czeka
go więzienie. Otóż ja ci powiem tyle, że on
się myli. Andrzej nie jest mordercą, Edward
Zagórski żyje, i dawno już odbyło się jego we-
sele z jego dawną narzeczoną.

„Panie Koszyna, Wy to wiecie i mimo to pozwolicie mu tak się męczyć?„ zawołała przeżona dziewczyna.

„Zaczekaj dziecko, najprzód mnie wysłuchaj, a potem dopiero sądź. Owszem że pozwoliłem mu cierpieć i jeżeli pozostanie u nas, jeszcze będzie musiał cierpieć pewien czas; mam w tem swój cel, bezcelowo nic nie robię. Otóż, on nie tylko nie jest mordercą, ale nie jest nawet ani żadne doniesienie przeciwko niemu zrobione, i ztąd też wcale nie oczekuje go więzienie. Pieniądze czasem oślepią oczy. Przeoczyło się. Ponieważ ojciec w imieniu syna podał prośbę o zwolnienie z wojska, jest on więc od wojska zwolniony, i odbywa, jak się w tamtejszych stronach opowiada, jako inżynier jakieś podróże zagranicą. Gdy powróci, może z powrotem wstąpić do dawnego towarzystwa, imię jego, honor jego są nienaruszone,“

„Ach panie Koszyna. Wy pewnie żartujecie, ale nie czyńcie tego proszę w tak poważny dzień, jakim jest dzień dzisiejszy“ odezwała się smutnym głosem Hania. „Nie jest to przecie możliwem, żebyście wiedząc takie cudowne rzeczy, nie opowiedzieli o nich jemu, dla którego stanowiłyby cudowne lekarstwo, na głęboką ranę jego sumienia“

„Haniu, słuchaj! Czy słyszałaś już kiedy odemnie jakie złośliwe żarty?“ spytał krótko młynarz dziewczyny. „Owszem, ja się Tobie

nie dziwię. To, co Ci opowiadam, wygląda trochę na bajkę, a moje zachowanie, tutaj w tym wypadku, jest może wprost nie do pojęcia. Lecz słuchaj dalej i chciej to, co ci mówię zrozumieć. Ja przyprowadziłem do domu swojego człowieka młodego, który wskutek postrzału w głowę i wstrząsu mózgu postradał to, co jest jednym z największych darów Bożych u człowieka, to znaczy mowę, i długo groziło mu niebezpieczeństwo, iż dostanie pomieszania zmysłów. Tylko zupełna zmiana trybu życia, powietrza, pożywienia, okoliczności, ludzi, prócz tego wytężająca praca fizyczna, mogły go uchronić przed utratą zdrowych myśli,

Wziąłem go więc do siebie, i starałem się o to, żeby mu niczego z wszystkich tych rzeczy u mnie nie brakowało, i z radością to spostrzegłem, jak ten rozpieszczony chłopak, z dnia na dzień przychodził do sił, nabierał tężyzny. Ponieważ lekarz, który go kiedyś u mnie leczył oświadczył, że jakiś wielki nerwowy lub inny wstrząs — gdy należycie się wzmocni, tak, żeby go był wstanie wytrzymać, — mógłby mu utraconą mowę przywrócić, bez której w swoim zawodzie inżynierskim trudnoby mógł co począc i bez której wogóle na polu nauki niewiele zdziałać byłby wstanie, postanowiłem więc tak długo milczeć i trzymać go w tajemnicy u siebie, dopóki się nie przekonam, że jest już o tyle przy siłach, żeby to wytrzymał, gdyby się nagle zetknął z Edwardem Zagórskim i dowiedział

się całej prawdy. Wierzę, że to otworzy mu usta. Gniewałem się więc, gdy się dowiedziałem, że on tajemnicę tę zdradził, bo w ten sposób wtrącił siebie samego do walk wewnętrznych, które go osłabić są wstanie. Dlatego też prędzej, nim osłabieje, posłać go muszę do ojca do domu, który znając całą tą sprawę, taksamo z dużem zaparciem samego siebie nie przychodzi tutaj i nie odwiedza go, zadawała się tylko co miesiąc przysyłanemi mu wiadomościami o jego zdrowiu.

Tak Haniu, wiesz więc wszystko. Widzisz teraz, zem sobie z nikogo nie kpił. Czy będziesz mnie jeszcze posądzała o twardość serca?"

„Ach wybaczcie proszę!" rzekła składając ręce, "sądziłam przed czasem nie znając niczego. To, jednak co teraz mi opowiadacie, jest tak wspaniałe, że temu nawet uwierzyć trudno. Na czole Andrzejowem więc nie widnieje znamię Kaina. Rodzina jego kocha go i wyczekuje. Pan Jezus już to sprawi, że przywrócona mu będzie mowa tak, jak przywrócone mu zostało zdrowie, a Wy? Wam dane było go ratować, Was obrał sobie Bóg jako narzędzie do tego wielkiego czynu miłosierdzia. Ach nie obawiajcie się panie Koszyna, zatrzymać Andrzeja tutaj, my się już o to postaramy, żeby się on niczem nie przejmował, — co mówię my? — Pan który go tak mocno do siebie ciągnie, On się nim zajmie, On mu da swój pokój a potem, potem

przyjdzie ta wielka, wielka chwila radości. Z pewnością przyjdzie on po chwili do Was. Gdy przyjdzie, bądźcie wobec niego takim dobrym, uprzejmym jawnie, otwarcie, jak dobrym jesteście dla niego sami u siebie, w swem sercu. Powiedzcie mu, że się na niego nie gniewacie, że mu przebaczacie i do ojca jego że pisać nie będziecie. Dobrze? Czy zrobicie tak?"

— „Dobrze. Zrobię.” — rzekł z uśmiechem młynarz. — „lecz tylko pod jednym warunkiem,” — dodał z powagą — „mianowicie pod tym, że ani ty o odejściu od nas myśleć nie będziesz i że mnie nie zdradzisz.”

— „Nie zdradzę. Pan mi już pomoże zachować tajemnicę tą u siebie i milczeć. Pójdę zaś tu stąd dopiero wtedy, gdy mnie On znowu dalej pošle, i gdy uzna służbę moją u Was za skończoną.”

— „A więc dobrze. Teraz więc odejdz na chwileczkę, by nas Andrzej razem nie zastał, mógłby nas bowiem podejrzewać o jakąś przeciw niemu znowę.”

Hania wychodząc, raz się jeszcze we drzwiach obejrzała.

— „Mogę jednak z nim o tej sprawie rozmawiać, by sobie nie myślał, że nim, jak Kainem gardzę?”

— „Zrób jak uważasz za dobre. Mam pełne zaufanie do ciebie i wiem, że cokolwiek zrobisz będzie dobre.”

— „Dziękuję panie! Dobra noc! gdybyśmy się już dziś nie widzieli.”

— „Dziś nie? Dlaczego nie?”

— „Gdy wróci babcia, chciałabym pójść odwiedzić dwie chore kobiety pod Grabową i dlatego wrócę prawdopodobnie dosyć późno.”

— „No to idź. A którądy będziesz wracać?”

— „Potokami.”

— „Więc aż ku krzyżu pójdziemy ci na przeciw z Andrzejem, albo przynajmniej jego samego poślę.”

— „Dziękuję panie. Niech Wam Pan Bóg hojnie wszystko wynagrodzi.”

Dziewczyna wyszła z pokoju i z domu. We młynie pozostał tylko sam jego właściciel. Wreszcie i on wyszedł, czując się jakoś samotnie. Poszedł najprzód na podwórze zajrzeć za drobiem, a potem, do stajni popatrzeć się na bydło. Później, gdy stara Sommerowa wróciła, znalazła go siedzącego przy stole nad otwartą Biblią.

XI.

Nie doszła Hania do chorych kobiet, do których się wybrała. Przechodząc koło chatki Ziemiańskiej, wstąpiła do niej z zamiarem że i oną ze sobą zabierze. Jakże się jednak zdziwiła, gdy znalazłszy się w sieni, usłyszała

śpiew, a otworzywszy drzwi, zobaczyła koło stołu siedzących pięć niewiast, śpiewających z otwartych śpiewników pieśń: „O głowo pełna cierpień.”

Oprócz Ziemiańskiej były tam: siedlaczka z Dolnej Wsi, jej starsza synowa, matka synowej i żona gajowego. Gdy skończyły kobiety pieśń a było można zauważyć po nich że ją z przejęciem śpiewały, — wyciągnęła siedlaczka z Dolnej Wsi rękę do Hani na powitanie.

„Tyś prawdę jednak mówiła Haneczko, że człowiek może i musi mieć pewność odpuszczenia swych grzechów. Oj, żebyś ty wiedziała jaka ja jestem dziś szczęśliwa. Podobnie jak Ziemiańska, albo jak i ty. Taksamo i mnie darowany został ten dziwny Boży pokój, a to wszystko z łaski i tylko z łaski, dla męki i śmierci tego Baranka Bożego.”

— „O, jak to dobrze! Bogu niech będą dzięki za tą Jego łaskę!” zawołała ucieszoną Hania.

— „Haneczko przysłaś nam w sam raz, gdy właśnie cię potrzebujemy. Wytłumaczyłaś to naszej Ziemiańskiej, wytłumacz i nam, jakbyśmy i my dość mogły do takiego samego szczęścia i radości?” odezwała się jedna z obecnych, piękna młoda kobieta. „Odkąd mamusię naszą ten dziwny jakiś niepokój ogarnął, odtąd i nam jest jakoś nieswojo, i my mamy uczucie jakby nam ktoś jakiś ciężki kamień na sercu położył, lub oczy nam otworzył i pokazał nam

całą naszą wewnętrzną nędzę. Teraz, gdy widzę jak oni są szczęśliwi, to i ja bym pragnęła dojsć do tego samego szczęśliwego stanu. Tak samo radabym się pozbyć tego niepokoju, który mnie coraz więcej dręczy." To powiedziawszy młoda kobieta otarła sobie spływające po policzkach łzy.

"Tak, tak dziewczę kochane, jeżeli możesz, to poradź nam. dodała jej matka. Od tej chwili, gdy mąż mój zaczął czytać w książce, którą mu dał Andrzej o tym potopie, jak to wtenczas uratowało się tylko osiem ludzi, gdzie jest napisane że i nam tak samo jak tamtym szukać trzeba ratunku, od tego czasu wierz mi, nie mam pokoju, ustawicznie myśleć muszę o tem. Przyszłam dziś popołudniu do mojej szwagrowej i widzę, że ona jakaś zupełnie inna. Już nie chodzi smutna, nie płacze, owszem pełna jest radości i dziękowania Bogu. Zrozumiałam zaraz, iż się tu coś stało, że widocznie ona już także arkę przymierza znalazła. i uniknęła potopu.

To same mi tu także i kumoszka opowiadają, że i oni o tem samem myślą i także Pana Boga szukają, i próbują jakby się dostali do Niego. I oni to taksamo mówią, żeśmy doprawdy od Boga daleko, bardzo daleko."

"Owszem dziecko, tak rzeczywiście jest," rzekła stara pani gajowa, starsza kobieta o miłym, choć już zmarszczkami pokrytem obliczu, "Od dawien dawna, od mojej młodości i ja już

to same odczuwałam. Nieraz bywało, żeśmy razem z moim starym takie miałem uczucie, jakby na coś gdzieś tam wyżej, wyżej ku Bogu do Jego prawdziwego, wiecznego doskonałego życia ciągnęło. Ponieważemy jednak nikogo w tym niebieskim kierunku iść nie widzieli, myśmy się sami również tam wybrać nie umieli i nie wybrali. Dopiero gdyś ty się tutaj zjawiała, dopiero wtedy zauważyłam, że ty masz coś, czego inni u nas nie mają. I nieraz po to tylko do twojej babci przychodziłam żeby zobaczyć ciebie, i słyszeć co opowiadasz o tych rzeczach, za którymi ja już od dawien dawna w głębi duszy tęskniłam. Robiłaś na mnie takie wrażenie, jakbyś doprawdy — że tak powiem — cielesnie z tym Chrystusem Panem co dnia, czy co chwila się widywała. Byłaś obcą u nas, i byłaś zupełnie inna niż my, czyniłaś ludziom dobrze tak i tyle, jak żadna z nas. Miałam uczucie i myślałam w sobie, że cię Pan Bóg chyba jakąś osobliwą udarował łaską, i że tak jak ty, nikt z nas ani wierzyć ani żyć nie potrafi. Potem jednak zaszła ta dziwna zmiana u Ziemiańskiej — Ona mi tego za złe nie weźmie, jeżeli powiem, że u niej takiej zmiany najmniej byłybyśmy się spodziewały i nigdybyśmy nie były uwierzyły, że ona zechce się kiedy zmienić, do Boga nawrócić. Gdy się to jednak wreszcie stało myśleliśmy — a wielu do dziś dnia tak jeszcze myśli — że dostała pomieszania zmysłów. Ja jednak wkrótce inaczej poczęłam na to patrzeć,

Zrozumiałam, iż tu widocznie zaszło coś z tego, jak jest napisane: „Przyszł Syn człowieczy, aby szukał i zachował to, co było zgineło.” I jeszcze inne; „Celnicy i grzesznicy uprzedzają was po Królestwa niebieskiego.”

Zrozumiałam, że jej nic nie brakuje i że ona nie zrobiła nic więcej, tylko to, cośmy już dawno z moim starym zrobić mieli a nie zrobili, to znaczy, że ona sercem całym nawróciła się do Boga. Jak widzisz w ten więc sposób zeszyliśmy się tutaj dziś i bardzo jesteśmy temu rade żeś i ty znalazła się pomiędzy nami.”

Pozostała więc Hania u Ziemiańskiej i nie poszła do chorych. Siedząc razem, rozmawiały kobiety o tem co było w tej chwili dla nich najważniejszem, mianowicie o tem, co odnosiło się do ich wewnętrznego, skrytego życia z Chrystusem w Bogu, a siedząc tak z sobą, miały wrażenie, że prawdą są one słowa: „Gdzie dwaj albo trzej są zgromadzeni w imieniu Mojem, jestem pomiędzy nimi.” Siedział On między nimi i wykladał im Pismo, Wracając zaś do domów swych, niesły w duszach swych coś z uczucia, co możnaby wyrazić słowem ucznia Pańskiego Andrzeja: „Znaleźliśmy Mesjasza.”

Teraz dopiero dowiedziała się młoda kobieta, jakto można z łaski bez wszelkiej własnej zasługi dostąpić zbawienia, i jak to wyzwolić się można z pod ciężaru grzechu. Znalazła matka jej drogę do arki przymierza, wróciła

żona gajowego do domu, aby opowiedzieć mężowi swemu, że zdołała go uprzedzić w drodze do Boga, który ją i jego już od dawnych dni młodości do siebie ciągnął.

W ten sposób w ów Wielki Piątek znalazło się w Zarzeczcu pięćoro dusz, które były sobie tego zupełnie świadome, pewne że są naprawdę wołnemi w Chrystusie i są dziećmi Bożemi, według słowa Pańskiego: „Którzy Go kolwiek przyjęli, dał im tę moc, aby się stali dziećmi Bożemi, to jest tym, którzy wierzą w imię Jego, którzy z Boga narodzeni są.”

Były to sobie tylko ot takie skromne, wiejskie kobiety. Światły na nie z politowaniem, wzgardą popatrzył, ramionami wzruszył; w niebiesiech jednak widziano wypadek ten z innej strony, tam zabrzmiała pieśń: „Godzienś jest Baranku wziąć cześć i moc i chwałę i dziękowanie żeś był zabity i odkupiłeś nas Bogu naszemu krwią Swoją.”

O tych pięciu wiedziała Hania, Była jednak w Zarzeczcu jeszcze i szósta dusza, która kosztowała Panu wiele wysiłku, nim ją o Swojej łasce, wszelki grzech odpuszczającej przekonał, a serce wyplakało wiele łez, nim wreszcie usta, chociaż mówić nie mogły, przecie wreszcie wymowiły. „Wierzę Panie, o wierzę, żeś i za mój grzech umarł, tak, jak za grzech owego złoczyńcy, który także był mordercą. Wierzę, że odpuściles mi i oczyściles mię i że jestem teraz czysty, wolny i zupełnie Twój.

Prowadź mię odtąd, gdzie chcesz i czyni ze mną co chcesz, Jestem Twój, wiecznie Twój."

Młodzian, który tam teraz w głębi boru podniósł się z łzami własnymi skropionej ziemi, Biblię swą zamknął i z powrotem do domu niósł, nie był już to tensam nieszczęśliwy, grzechem obciążony, zwątpiały człowiek, który kiedyś do gór tych i do tego boru przyszedł, lecz był to już teraz wolny, krwią Baranka Bożego oczyszczony, szczęśliwy syn królewski.

Zmierzch już zapadał, gdy wrócił do młyna. W pokoju młynarza nie zastał nikogo, ponieważ młynarz właśnie był wyszedł naprzeciwko Hani, stosownie do danego jej przyrzeczenia. Zapalił więc światło, wziął papier i pióro, i zaczął pisać co następuje:

Czcigodny mój Dobroczyńco!

Obawiając się, żebym Ci znakami nie mógł wszystkiego tego wypowiedzieć, co mam Ci do powiedzenia, chcę Ci to napisać.

Przedewszystkiem dziękuję Ci gorąco, dziękuję serdecznie żeś mi wówczas życie uratował, to życie, które dziś dopiero uzyskało dla mnie swą prawdziwą wartość dziś, gdy przeniesiony jestem do onej cudownej Bożej światłości, przeniesiony z śmierci do żywota.

Po długim boju przecie nareszcie znalazłem prawdę, ponieważ znalazłem Jego, Chrystusa Pana a Chrystus znalazł mnie. Uwierzyłem i świadomy sobie jestem tego, że On żyje, żyje

i że On naprawdę zmartwychwstał i że grzechów odpuszczenie daje wszystkim tym, którzy Go o to proszą. Opuścił i zdjął i ze mnie moją ciężką winę. Przyszedłem do Niego, bo on mnie wołał, przyszedłem taki, jaki byłem, gorszy od tego złooczyńcy na krzyżu, i tak jak on, tam ten mój brat, zostałem ulaskawiony.

Jestem wprowadzie i do śmierci pozostanę mordercą Edwarda Zagórskiego, jednakowoż u Boga ta wina moja jest już zapłacona śmiercią Jezusa Nazareńskiego na Golgocie.

Inaczej ma się sprawa przed światem. Nazwałeś mnie lęklwym, słabym. Nie byłem takim wskutek tego, że wyznałem mą winę Hani Stefanówniej. Kosztowało mnie to bardzo dużo, nim się na wyznanie to zdobyłem. Lęklwym, słabym możnaby mię nazwać chyba dlatego, że tak długo siedziałem tutaj w ukryciu uchylając się przed poniesieniem, sprawiedliwej kary ludzkiej.

Wprowadzie i to mi mój dobry Bóg ku dobremu, ku memu zbawieniu obrócił, ponieważ inaczej, nie byłbym się zetknął z tą, która mi drogę do Chrystusa, do zbawienia wskazała.

Tem teraz prawdopodobnie Boże zamiary są już spełnione i ja ztąd teraz już odejdę. Nie wysyłaj proszę ojcu memu listu pocztą, ja mu go zabiorę i oddam sam. Wróciwszy, natychmiast oddam się w ręce sądu wojskowego i z ochotą przyjmę karę, która zresztą nigdy

nie będzie tak wielka, jak grzech przeciwko człowiekowi popełniony,

O Boże. Boże mój drogi, jakże nieograniczona jest łaska Twoja, która mi tak wielką odpuściła nieprawość!

Nic innego tylko święta krew Bożego Syna mogła moją duszę oczyścić. Napróżnym płakał, niczego więcej już nieodwrócić, Edwarda nie wzbudzę już od umarłych, wierzyć jednak chcę w to, że gdzie się rozmnożył grzech, tam łaska obfitowała, łaska Boża, nie jakakolwiek nasza zasługa.

Pozwól mi jeszcze święta wielkanocne spędzić pod Twoją strzechą, gdzie mi tak dobrze było, gdzieś mi tyle dobrego wyświadczył i gdzie to najwyższe dobro mogłem uzyskać. Będzie to dla mnie pierwsza Wielkanoc. — będzie to zmartwychwstanie i dla mnie. O szkoda, szkoda, żeśmy niemy, szkoda że nie są usta moje wolne jak kiedyś były! Bo jakże można milczeć, jeżeli serce pełne, przepelnione niewypowiedzianą wdzięcznością i uwielbieniem dla Boga, Tego Boga, który mnie przyjął jak owego syna marnotrawnego. Oto kładę, kładę oniemiałe usta moje w proch i wyznaję, żeśmy zasłużył, zaprawdę zasłużył."

Odłożył pióro, dalej pisać nie był w stanie. — Zwyciężony nawalem radości zmieszanej z żalem, upadł na kolana i po raz pierwszy wołało serce jego, ponieważ usta nie mogły: „Panie Jezu.

jeżeliś mi tak wielką okazał łaskę, jaką mi okazałeś, daruj mi jeszcze i to, otwórz mi usta moje żeby one wszędzie, gdziekolwiek się znajdę świadczyć mogły o tej precudnej wyświadczonej mi przez Ciebie łasce!"

XII.

Minęły jakie dwa tygodnie po Wielkiej nocy. Cała przyroda przyodziła się w swą wspaniałą szatę wiosenną. Gdzie jaki sad, gdzie jaki nad urwiskiem krzak, wszystko kwitło, Zarzeczce wyglądało jak jeden duży ogród. Dookoła młyna również pełno było kwiecica i pełno było śpiewu ptasząt. W młynie zaś samym wyglądało, jakby do serca wszystkich jego mieszkańców taksamo zawitała wiosna. Młynarz był wesóły, a choć niewiele mówił, to jednak uprzejme jego spojrzenie, którem na otoczenie swe spoglądał, mówiło zgoła więcej, niżby mogły powiedzieć słowa „Nasz majster doprawdy odmłodził,” mówiła Sommerowa do kobiet.

Andrzeja już chłopcy nie widywali smutnego. Wydawał się im jakiś taki, jakby to wcale on nie był, tak mu oczy od jakiejś ukrytej radości jaśniały. A gdy czasem spojrzął na precudną przyrodę, napelaioną śpiewem, to i usta jego, choć nieme, również pełne były śpiewu. W tych obu ostatnich tygodniach, jakby mu kto siłę życia przydał, zapadła twarz jego, stała

się pełna, rumiana. Dziwowali się ludzie, skąd on tych wszystkich, mniejszych czy większych broszur nabierał, które im gdy przyjeżdżali ze zbożem do młyna rozdawał. Były domy, do których on nawet sam przychodził i przynosił Nowe Testamenty i napominał ludzi, by je czytali a czytali z modlitwą. Gdyby nie był z niego taki wzorowy młynarz jak naprawdę był, byłby gotów świat o nim powiedzieć, że i on dostał pomieszania zmysłów.

Coś niezwykłego dzieć się zaczęło we wsi. W chatce koło potoka, zaczęli obaj starzy przytrzymywać młodych koło Słowa Bożego, u siedlaka w Dolnej wsi, matka i synowa gdzie się tylko dało, opowiadały o tem, jak to dobrze prowadzić życie w świadomości odpuszczenia grzechów i społeczności z Bogiem. Tylko młodsza synowa krzywiła się nad tem, tem więcej, gdy i jej mąż i ojciec zaczęli coraz częściej zaglądać do Biblii i czytać różne dobre pisma i ulotki przynoszone przez matkę i starszą synową do domu. Razem ze szwagrem wygadywali na te nowe porządki.

U gajowych, — tam niestety było smutno. Żona gajowego prawie w samą Wielkanoc się rozchorowała. Mimo swojej choroby jednak i ona z radosnym uśmiechem opowiadała każdemu, kto ją odwiedzić przyszedł, o wielkiej Bożej łasce, która się jej dostała w udziale. Była to kobieta bardzo wobec każdego uprzejma, stateczna, powszechnie lubiana. Już od jej mło-

dości, uważano ją za bardzo pobożną — po prostu więc nie mogli tego teraz ludzie pojąć pogo i skąd ona jakieś grzechy poczyna na sobie odnajdywać i za ich odpuszczenie Bogu dziękować.

Mąż jej staruszek, przysiadł sobie do niej, na krzesło i czytał jej z Biblii, ocierając sobie od czasu do czasu zażawione oczy. Opiekował się nią, jak tylko umiał i mógł najlepiej. Nie radby sam, bez niej na świecie pozostał. Żyli z sobą w szczerzej, wzajemnej miłości od pierwszej młodości, w dniach dobrych i złych. Nie raz go ona od niejednego kroku złego odwiodła, dlatego wierzył jej i prosił Boga, by i jemu dał się tak znaleźć i poznać i umiłować jak ona Go znalazła, poznała i sercem całym umiłowała, żeby tam, dokąd się ona teraz z taką radością gotowała, nie musieli być rozdzieleni.

Hania Stefanówna odwiedzała staruszkę, pokazując przytem jej wnuczkom, jak w tem lub owem mogą coś babci posłużyć. Przychodziła także i ziemiańska, obie siedlaczki z Dolnej wsi; czasem był pokój pełen kobiet. Z żonami swymi przychodzili nieraz i mężowie, a ponieważ chora najchętniej słuchała gdy jej to i owo z Pisma świętego czytano, więc chętnie jej ktobądź z obecnych robił tą przysługę, a inni z ochotą się przysłuchiwali. Były w ten sposób odwiedziny te błogosławieństwem dla wszystkich.

Wróćmy jednak do młyna. Tam wiosenne życie i jego radość udzieliły się nawet i babci. Zauważyć to było można i z tego, że się już wcale na stosunek Hani z Ziemiańską nie gniewała, ba nie dosyć na tem, nawet ona sama tę kobietę pokochała. Lubiła z nią rozmawiać i nie mogła się temu dosyć nadziwić, że ta przed tem tak upadła kobieta, tak stała się zupełnie, ale to zupełnie inną.

Wzięła do siebie Ziemiańska dwoje opuszczonych dzieci, sieroty. Gdy jej pewnego razu Sommerowa poczęła tłumaczyć, iż sobie niepotrzebnie duży ciężar na ramiona wzięła, że je nie będzie miała z czego wyżywić i przyoblec, dała jej Ziemiańska tak dobrą odpowiedź, że jej musiała staruszka przyznać słuszność. Gdyby mi cioteczko - powiedziała Sommerowej - moje dzieci był mój mąż odumarł, musiałabym je także z Bożą pomocą wychować, ponieważ zaś nie mam swoich, to wychowam te. Ponieważem wyzdrowiała a jestem jeszcze młoda coś więc muszę robić, komuś i dla czegoś żyć. Mam Bogu dzięki dosyć, dosyć pracy, żebym jej tylko podolać mogła. Starsza dziewczynka ma lat siedem, gdy wróci ze szkoły, już mi to lub owo zrobi, pomoże, przyniesie, nie muszę wszystkiego sama robić, a to mniejsze, to mi znów tak dużo czasu nie zabierze. Przez cały dzień chodzi koło mnie i z byle jaką drobnostką potrafi się zabawić. A choćby czasem człowieka coś trochę przygniotło i trudniej przyszło,

to zawsze mam to przyjemne uczucie, że mogę tych dwoje po Bożemu wychować, drogę do Pana Jezusa im wskazać i mieć tę nadzieję, że nie wyrosną z nich takie dwie nieszczęśliwe grzesznice, na jaką ja wyrosłam.

No i naturalnie, cóż miała staruszka Sommerowa na to odpowiedzieć? Przyznała jej słusność. A nie tylko to, lecz sama nawet, przyszedłszy do domu, pozbierała po szafach troskliwie przechowywane rzeczy dziecinne i zaniósła je Ziemiańskiej. Za jej przykładem przynosić zaczęły i inne kobiety i naznosiły tyle, że starczyło tego dziewczynkom Ziemiańskiej na długi, długi czas. Hania pomogła jej co było potrzeba przesyć, tak, że obie dziewczątka wyglądały, jakby je z pudelka wydobył.

I na Hani także było można zauważyć tę wiosnę. Jej i tak już dosyć jasne oczy, spoglądały teraz na każdego jeszcze jaśniej i promienniej. Dla każdego miała jakieś dobre słówko i miły uśmiech, była taka, jak to dobrze się o niej wyraziła babcia: „Ona jest jak to Boże słoneczko, które wszystkich ludzi jednak ogrzewa.”

A jednak przyszyły takie chwile, że i ona, prawie ona, Hania, samotna siadywała lub stała nad jazem i dumiała tak, jakby jej coś bardzo, bardzo dolegało, coś, czego się żadnym sposobem wyzbyć nie była w stanie.

Ach bo nie było jej to łatwo z Andrzejem żyć, widzieć go tak szczęśliwego, wiedzieć

przytem, że Andrzej tylko dlatego się tutaj jeszcze wstrzymuje, ponieważ młynarz nibyto ma dużo pracy, że sam jej podołać nie może i o to go prosił, żeby tu jeszcze pozostał pewien czas nie odchodził jeszcze od niego. Jak chętnie, bardzo chętnie byłaby mu Hania powiedziała: „Andrzeju, pan Koszyna nie jest tak samolubny, iżby Was tutaj z powodu pracy swej zatrzymywał, nie, on ma cudowne, wielkie zamiary względem Was.” Albo gdy czasem przed nią o więzieniu które go czeka i na hańbę która stąd dla ojca jego wyniknie wspominał, jak chętnie byłaby mu wtedy powiedziała: „Nie, nie Andrzej, nie wierzcie temu, nic wam nie grozi, jesteście wolni, wolni zupełnie.”

Wiedziała, jak on sobie przyszłość swoją przedstawia, mianowicie iż będzie trzeba cierpieć i cierpieć, a jednak nie mogła mu o tem powiedzieć że cierpieć nie będzie. Ach! zwłaszcza gdy wspominał z boleścią w duszy o swym grzechu, o tem, że zabił Edwarda, że on umrzeć musiał, umrzeć niepojednany z Bogiem. O, wtedy, wtedy to już musiała sobie obie ręce do ust przycisnąć, by się te usta nagle nie odezwały: „Nie wierzcie! Edward żyje, nie jesteście Kainem. Jeszcze sami dać mu możecie świadectwo o Bożem zbawieniu, zaprowadzić go jeszcze do Pana.”

Oj było trzeba do tego dużej siły, wielkiego zaparcia samej siebie, i tylko wspomnienie na słowo Koszyny: „Ja Wam wierzę.”

to dodawało jej siły, iż milczeć mogła i milczała i ni jednym nie odezwała się słowem.

Pozatem jeszcze jeden ból dolegał dziewczynie. Mianowicie im więcej Andrzej oddawał się Panu i pogrążał się w Jego miłości, tem więcej Koszyna zdawał się sprzeciwiać, opierać prawdzie o Chrystusowem zmartwychwstaniu. Dziewczynie zaś przy tem zawsze na nowo przychodziły na pamięć słowa apostołskie: „Jeśli Chrystus nie wstał zmartwych, daremna jest wiara wasza i jeszczeście w grzechach waszych.”

Sprawa była trudna, Koszyna nie miał pojęcia o grzechu, nie uznawał tego, żeby on był grzeszny. On się usiłował żyć tak uczciwie i tak nienagannie, że naprawdę trudno było go obwinić o jakiś grzech. Dziewczyna podziwiała go poprostu i coś ciągnęło ją wprost do tego niezwykłego człowieka. Czasami nawet w jego obecności odczuwała jakiś wewnętrzny lęk, by przypadkowo nie przyznała jego twierdzeniu słuszności i nie okazała się słabą do obrony słowa Pańskiego: „Wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej.”

Dziewczyna była sama, nie miała wokoło siebie nikogo, z kimby się mogła w tej sprawie rozmówić i ktoby jej mógł to, czego pojąć, zrozumieć nie mogła wytłumaczyć, wyjaśnić. Miała jednak w sobie tyle wiary w Boga któremu się oddała, że uczepiwszy się jego obietnicy:

„I będą wszyscy wyuczeni od Pana" ze spokojem trwała w poznanej prawdzie, wyczekując, że wszystko inne, czego jej będzie potrzeba to jej Pan objawi. I modląc się o światło dla siebie, modliła się też dziewczyna dniami całemi i nocami o światło dla tego szlachetnego, lecz Boga nieznającego męża, modliła jak się jej początkowo zdawało bezskutecznie. Mimo to jednak nie ustawała w swej modlitwie.

XIII.

I znowu było niedzielne popołudnie. Nad jazem stali majster z czeladnikiem, żywo z sobą o czemś rozmawiając. Rozmawiali długą chwilę wreszcie gdy skończyli, zabrał Andrzej swą książkę, pożegnał się na kilka godzin ze swym dobroczyńcą i odszedł w góry.

Młynarz przez długą chwilę stał na miejscu samotny i zapatrzony [za odchodzącym, gdy nagle tuż za nim ozwał się głos pozdrowienia:

„Dzień dobry!"

Obejrzał się, „Haniu, to ty jesteś? Dokąd idziesz?" spytał podawając równocześnie dziewczynie rękę.

„Za Wami, panie Koszyna."

„Za mną?" spytał zdziwiony spoglądając przytem badawczo w pobludłą twarz dziewczyny.

„Przeczytajcie proszę ten list,” rzekła, podając mu papier. Zdaleka poznał już charakter pisma jej matki i jakoś struchlał.

List był krótki. Oprócz pozdrowień, zawierał mniej więcej, co następuje:

„Listy od Anny są im dalej tem gorsze. Ona się tam u Was nie poprawia lecz jeszcze więcej psuje. Wy zaś piszecie o niej, jakby o jakim aniele.

Kto wie, co sobie ci ludzie, u których żyjecie, będą myśleli o nas, dlaczego ją tam pozostawiamy,

Ja jednakowoż w domu jej nie chcę. Jestem rada, że mam spokój ze strony męża, aby jednak świat nas, kto wie o co nie obmawiał, znalazłam dla niej dobrą służbę w Peszcie.

Była tutaj przez lato stamtąd pewna pani, wprawdzie żydówka, lecz bogata. Szukała służącej. Ktoś wspomniał jej o naszej Annie i przyszła o nią prosić. Przyrzekła jej płacę 100 złotych miesięcznie. Nie wiele więcej ma u nas pisarz. Niech się więc zaraz od Was wybierze i tam jedzie. Posyłamy jej pieniądze na drogę, które tutaj owa pani dla niej zostawiła.”
I t.d.

Młynarz przeczytawszy list, miał ochotę zgnieść go i zarzucić od siebie, powstrzymał się jednak i z powagą spojrział na stojącą naprzeciw niego dziewczynę.

„Przyszłam Wam powiedzieć panie, że znów iść muszę dalej.”

„Haniu i czy ty naprawdę pójdziesz?” spytał, przystępując ku niej bliżej.

„Nie mam możliwości nie iść. Gdyby babcia byli chorzy, a byłoby mi wolno nimi się opiekować, wtenczas miałabym coś na usprawiedliwienie i iść bym nie musiała, lecz tak jak sprawy sioją, niemam żadnego powodu, dlaczego bym iść nie miała. To, coście dla domu potrzebowali, już wam wszystko posyłam, mimo to dalszcie mi jeszcze dużo czasu, który mogłam zużytkować dla posługi bliźnim, jaką mi się dało tu lub tam z Bożą wykonać pomocą. Poprawić się zaś u Was tak, jak sobie to oni myślą, napewno się nie poprawię.” rzekła, lekko się uśmiechając. „Na to, pewnie że napróżno by czekali. Do domu, długo jeszcze, długo nie będę się mogła wrócić. Matka sobie tego nie życzy. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak tylko do jej dostosować się woli.”

— „A czy chętnie pójdziesz stąd, chętnie pójdziesz w obcy nieznaną ci świat?” spytał młynarz, patrząc gdzieś daleko, daleko w próżnię.

— „Pogodziłam się już z tą myślą, że raz trzeba się będzie zdecydować i opuścić ten kochany kawałek ziemi i tych miłych przyjaciół, których tu znalazłam. Trudno to wprawdzie, bardzo trudno, Pan Jezus mi jednak do tego dopomoże. Jestem gotowa iść wszędzie, gdziekolwiek mogę. Mu jaką taką w ludziach wykonać przysługę.”

— „A ta praca, którą tutaj pomiędzy naszemi kobietami wykonywałaś?”

— „Praca? Ja o żadnej nie wiem” rzekła z pewnem zdziwieniem.

Uśmiechnął się Koszyna. „Tak? A któż to budził te dusze uśpione, któż to uczył je patrzeć na Chrystusa i Jego poznawać?”

„To Pan Bóg sam czynił, ja zaś śmiałam Mu być tylko skromnem do tego narzędziem, zresztą było tego bardzo niewiele.” rzekła w zamyśleniu. „Nosłam się z myślą, że mogłybyśmy razem z Ziemiańską mieszkać, onaby haftowała a ja bym znowu szła i w ten sposób byśmy siebie i tych dwojga sierot wyżywiły. Rozkoszne były to plany, teraz jednak zostały one przekreślone.”

Na twarzy młynarza pojawił się jakiś przelotny, nieuchwytny promień, chciał coś powiedzieć. W tej samej jednak chwili dostrzegli na drodze tuman prochu i słyszeć dał się turkot jakiegoś rzadko kiedy tutaj widywanego powozu. Koszyna mimowolnie uściśnął rękę dziewczyny i z pewnem wzruszeniem rzekł do niej: „Haniu, goście nam przyjeżdżają. O tej sprawie o której mówiliśmy teraz, jeszcze się rozmówimy później, narazie na list nie wysyłaj żadnej odpowiedzi. Kto wie, czy nie będziesz nam jeszcze bardzo potrzebna. Nagła bowiem i wielka radość jeżeli nie zabije, to niekiedy duży spowoduje wstrząs i nieraz, nieraz przykre następstwa.”

To mówiąc, zeszedł młynarz z kładki, skierował kroki swe na drogę i nim doszedł do młyna, przed domem stał już powóz, z którego właśnie w tej chwili wyskoczył młody, smukły pan. za nim zaś zstępował drugi, poważny, już nieco posiwiał.

Nikt nie powiedział Hani, kto są ci dwaj przybyli goście, serce jednak zgoła że bić przestało w niej na myśl, że pewnie będzie to ojciec Andrzeja i ten oplakany już Edward.

Nie wiedziała, czy miałyby w tej chwili pobiec za Andrzejem, albo czy go raczej, gdyby się nagle zjawił, powstrzymać. Od tej przecie chwili tak wiele, ba zgoła wszystko zawisło. Głęboko wzruszonej aż ściemniło się w oczach tak, że nawet nie widziała, jak tam przed młynem Koszyna z gośćmi się powitał i jak później dolną ścieżką zaprowadził ich do młyna. Gdy się opamiętała, zobaczyła już tylko próżny do podwórza zajeżdżający powóz.

Znane były Hani te ulubione miejsca Andrzejoye gdzie on najchętniej bywał, i odczuwając tego jakąś głęboką, nieprzepartą potrzebę, postanowiła raz jeszcze pójść i z nim gdzieś w ciszy, w spokoju po raz ostatni się pomodlić, pierwej, nim nadejdzie dla niego ta niespodziewana, radosna ale i niebezpieczna chwila, chwila nieoczekiwanego spotkania. Idąc,

wkrótce znalazła się na leśnej ścieżynie, a po niej za małą chwilę, na ślicznej, wśród lasu ukrytej, późnemi fioletkami okrytej łączce.

Tam, na kamieniu siedział Andrzej i czytał. Oblany promieniami słońca wyglądał naprawdę piękny. Ubrany był w nowe ubranie młynarskie. Nie zobaczy go ojciec w tem codzien-
nem, jakie zazwyczaj nosił przy pracy. Ojciec przyjechał, Edward przyjechał, — a on nie o tem niewie!

Jeszcze chciała zastanowić się dziewczyna nad tem, jakby go dostać do domu, gdy w tem podniósł głowę i spostrzegłszy ją zeskoczył natchmianem ze skały i już byli obok siebie.

„Umyślnie za Wami przyszedłem Andrzej,”
— rzekła dziewczyna, gdy wyraził jej swą radość nad tem, że i ona wyszła do tej prze-
ślicznej Bożej przyrody. — „Mam takie jakieś wielkie pragnienie, żebyśmy tutaj, w tem przed-
cudnem zaciszu leśnem, skupili nasze serca przed Panem i podziękowali Mu za wszystko dobre, cośmy potąd od niego wzięli, a zwierzyli Mu nasze wszystkie drogi i potrzeby na przyszłość, Jemu, który jest tą prawdziwą i wieczną miłością.”

Chętnie się zgodził, choć dźwięk jej słów jednak go trochę zdziwił. Uklękli razem a Hanna modliła się za obu tak, jak już to zresztą od Wielkiej nocy kilka razy się powtórzyło. Gdy później wstała i skierowała kroki swe ku domowi, mimowolnie szedł i on z nią.

Aby choć trochę usprawiedliwić przed nim swoje wzruszenie, którego ukryć nie była w stanie, dała i jemu przeczytać list od swej matki, dodawając od siebie tę uwagę, że już wkrótce się rozejdą, ona pójdzie na służbę do Pesztu, on znowu do domu. Zaraz jednak zgoła zaczęła żałować swego postępku. Młynarz bowiem czytając ten list, omal że go nie zgniótł a Andrzej tak rzeczywiście zrobił. Wydawało się, jakby chciał stanowczo przeciwko temu zaprotestować. Wreszcie jednak uspokoił się, spuścił głowę wdół, godząc się w duszy na wszystko, cokolwiek by przyjść mogło.

— „Obydwaj jednak pojdziemy do więzienia“, mówił do niej zapomocą znaków, „Wy z tych prześlicznych gór, do dusznego, pełnego prochu miasta, a ja znowu tam, dokąd należę.“ Bardzo Wam dziękuję, że przyszliście się ze mną pomodlić i że przypomniaлиście mi, że Pan Jezus jest zawsze taksamo dobry, nawet i wtenczas, gdy prowadzi nas po drodze, po której się nam bardzo, bardzo niewygodnie idzie, bo wierzcie mi: myśl ta jest dla mnie poprostu nie do zniesienia. Ja bym bowiem i życie za Was był gotów położyć w ofierze, a przecie niestety nic zrobić niemożę, mogę tylko powierzyć Was łasce Tego, który wszystko ku dobremu doprowadzić może.“

W tem dąty się slyszeć kroki. Młodzian przystanął, spojrzął w tę samą stronę dokąd i dziewczyna patrzyła i w tej samej chwili, jak-

by go laską ktoś po głowie uderzył, zachwiał się, wyciągnął ręce ku mężowi, który — okropnie blady — stał tuż przed nim oparty o laskę.

„Andrzeju popatrz się,” zawołał Koszyna, którego Hania teraz dopiero zauważyła „popatrz się, kto przyszedł cię odwiedzić!”

Zdawało się, że już rzuci się młodzian, — który się był ledwie jakie dwa kroki zbliżył — do otwartych ramion ojcowskich, gdy w tem, spojrzenie jego padło jeszcze dalej, a ci którzy to słyszeli, nie zapomną nigdy okrzyku, jaki wydarł się z jego piersi, gdy spostrzegł tam hen z poza drzewa pojawiającą się jeszcze jedną postać, tą samą postać, która swego czasu właśnie także na tem samem miejscu stała, gdy ją oczy jego po raz ostatni widziały, widziały upadającą jak siekierą podcięte drzewo.

„Otmarze! Ja, rzeczywiście ja to jestem, czy mnie nie poznajesz?” zawołał dzwięczny, choć nieco ze wzruszenia przytłumiony głos.

W tejsze chwili oblicze niemego młodziana zmieniło się do niepoznania „Edwardzie!” krzyknął gwałtownie, a zarazem oczy się zamknęły, a głowa w tył opadła i gdyby w temsamem okamgnieniu nie był przyskoczył Koszyna i przytrzymał go, byłby młodzieniec upadł na ziemię. Młynarz jednakowoż przytrzymał go i później z pomocą ojca położyli go ostróżnie na trawie.

„Otmarze, Otmarze synu mój!” żałośnie zapłakał ojciec.

„Przyjacielu mój, popatrz się, spojrzij na nas, przebudź się!” wołał dawniejszy kolega.

Stojąca opodal dziewczyna spojrzała na śmiertelnie bladego młodziana, cicho, bez znaku życia na trawie leżącego i zgoła żeby sobie była życzyła, by już więcej się nie obudził, i nie otworzył oczy.

Później, padło jej spojrzenie również na młynarza i poprostu przelękała się wyrazu jego oblicza.

Ani najślawniejszy kapitan, gdyby zobaczył, że z jego winy wspaniały okręt został uszkodzony i tonie w głębinach morskich, nie mógłby z okropniejszym zwątpieniem patrzeć za idącym na dno morskie dziełem swoim, niż patrzył się on, młynarz na młodziana. Ach bo gdyby teraz Andrzej umarł, wtenczas on, Koszyna będzie przyczyną jego śmierci, O, raczej wszystko inne, tylko nie to!

Nie dbając na całe otoczenie, przystąpiła dziewczyna do Koszyny i kładąc dłoń na zimną jego rękę rzekła spokojnie: „Proszę zanieść go do domu, tam go z Bożą pomocą zbudzimy” a w głosie jej przebijała się mocna stanowcza wiara.

Koszyna uchwycił jej ręce, podobnie jak olbrzym tonący chwytą się marnej trzciny. Obaj obcy panowie spojrzeli na nią. Nie mieli jednak czasu ani się dziwić ani pytać co jest za jedna, skąd i poco przyszła, usłuchali tylko i bez słowa zrobili co kazała.

Młyn był blisko. mimo to jednak droga, całą wiecznością wydawała się dla wszystkich tych serc koło młodzieńca się znajdujących, zanim go przynieśli a napozór czy też rzeczywiście umarłego na jego położyli pościel i zaczęli budzić do życia.

XIV.

Nim nadszedł wieczór pełno już było po wsi opowiadania, iż do Andrzeja przyszli dwaj panowie, jeden z nich że jest jego ojciec, a drugi jego przyjaciel. On że niespodzianemi temi odwiedzinami tak radośnie został zaskoczony, iż z radości aż zemdlał. Dalej opowiadano że przyjaciel natychmiast pojechał po lekarza, który przyjechawszy do młyna, znalazł młodzieńca w bardzo groźnym stanie. Żył, oddychał, lecz oczy nie otworzył i był podobny do już, już dogasającej świecy,

Tyle opowiadali sobie we wsi. To dalsze jak ojciec rozpaczał, jak w boleści serca wyrzuty robił Koszynie, jak ten ostatni stał niemy, blady, jak marmur — o tem nie mówiono, to wiedziała tylko Hania. Ona bolała w sercu razem ze wszystkimi: z Koszyną, nad jego wniwecz obróconemi nadziejami, na których tyle budował, i z ojcem, którego skargi rozrywały jej serce.

„Otmarze, Otmarze, synu mój jedyny, odpuść ach odpuść nieszczęśliwemu ojcu twemu! O dlaczego ja się zgodziłem na to, żeby to zostało w taki sposób zrobione. Wierzyłem, spodziewałem się i głupi ten pomysł zdawał mi się być dobry. Zostawiłem cię tutaj na tym wygnaniu, pozwoliłem, żebyś się męczył cieleśnie i duchowo i to wszystko nadarmo, wszystko po to tylko, byś teraz zginął, zginął mi tutaj przed memi oczyma. Przemówiłeś, to prawda, ale za jaką cenę się to stało! O, co ja pocznę, co ja pocznę, jeżeli mi ty umrzesz?”

„Panie, ależ on przecie nie koniecznie musi umrzeć!” odważyła się na słowo pociechy dziewczyna.

— „I kto mi go wzbudzi?” gniewnie zawołał zrozpaczony mężczyzna.

— „Bóg sam, nasz Pan Jezus Chrystus, w którego wierzył, do którego się uciekał.” — rzekła z głębokim spokojem Hania.

Mężczyzna umilkł, nie odpowiedział na to nic więcej.

„Modłę się panie i wierzę, że Bóg Wam go zachowa, zachowa, jeżeli i wy obaj Go o to prosić będziecie.”

— „Ach, módlcie się, módlcie! począł prosić zrozpaczony ojciec.

W ucisku wielkim, gdy człowiek już żadnego wyjścia, żadnej pomocy więcej nie widzi, zawsze jeszcze ma jakieś dziwne wrażenie, iż jest jeszcze ktoś wyższy, mocniejszy, który

może pomóc; tylko że wielu nie pamiętając o Nim w dniach dobrych, nie umieją potem — albo raczej nie mają odwagi — w dniach złych do Niego się zbliżyć, i to zbliżyć Doń z ową górą przenoszącą wiarą. O jak szczęśliwi są potem tacy ludzie, gdy w takiej chwili znaleźć mogą kogoś, kto ma ten dostęp do Boga i z nimi do Niego zwrócić się zechce i może.

Gdy Hania odczuwając konieczność Bożej pomocy, zaczęła się głośno modlić, podziało to na ojca Andrzejowego, który jeszcze nigdy takiej dziecinnej uflowej modlitwy nie słyszał tak jakby mu ktoś balsam nadziei do serca wlewał.

Jakie uczucie miał przytem Koszyna? On nie klęczał, on nie wołał. Bo do kogoby on wołał? Do tego wielkiego męczennika Jezusa, który za swą naukę umarł i był pochowany i nie zmartwychwstał? Dziewczyna zwracała się z prośbą swą do żywego Jezusa Nazareńskiego. Podczas tego wołania, podczas tej modlitwy w stwardniałem sercu młynarza nagle zrodziło się uczucie, powstała myśl, tęsknota: oby On był żywy! Oby to była prawda! Jeżeli modlitwa ta zostanie doprawdy wysłuchana, o wtedy będę, będę mógł uwierzyć, że Ty żyjesz o Chryste! — mówił sam do siebie.

Przyszedeł wreszcie lekarz. Już w drodze dowiedział się o wszystkim. Wysłuchał spokojnie wyjaśnienia p. Koszyny i on jedyny przyznał młynarzowi słuszność.

„Panie Herda, niesłuszniebyście obwiniali pana Koszykę. Jego krok i jego rozumowanie są zupełnie usprawiedliwione. Dowodem tego jest już to, że syn Wasz przemówił. Że bardzo gwałtowne wzruszenie mu zaszkodziło, owszem to prawda, z tem jednak było się trzeba liczyć, tu nie było innego wyjścia. Każdy, kto się poddaje operacji, musi być przygotowany na życie lub śmierć.”

To rzekłszy zaczął badać młodziana. „Wstrząs był ogromny, — mówił dalej — jest jednak młody i zdrowy, gdy sobie nerwy odpoczną, wtenczas jeżeli się zbudzi, otworzy oczy i przemówi, to wtedy może być uratowany. Lecz wy, moi panowie, musicie się oddalić, szczególnie wy, panie Zagórski. Was on nie śmie widzieć, bo to by go napewno dobiło.

„Ja go tutaj nie zostawię panie doktorze, wezmę go do domu!”

— „O tem, panie, Herda ani myśleć nie można. Syn Wasz musi pozostać teraz w temsamem otoczeniu, w jakim był potąd. Jeżeli jest wogóle możliwy ratunek, to tylko tutaj. Dobrze będzie, jeżeli się wszyscy oddalicie. Wy panie Zagórski pójdźcie ze mną po lekarstwa, przy chłopcu zostać może tylko jeden, lecz kto?”

„Ja,” zgłosiła się natychmiast dziewczyna, „Spuście się na mnie, panie doktorze, ja postaram się wszystko jak najlepiej załatwić, co tylko zlecicie.”

Spojrzał lekarz w uprzejmą twarz dziewczyny, i u niej jedynej zauważył, że gdy się młodzian przebudzi, iż jej widok go nie zaniepokoi.

Otrzymała więc dziewczyna zlecenie, jak i co ma robić, jak zmieniać okłady na czoie, na sercu młodziana, jak co pewien czas wlewać mu choćby i przemocą kilka kropli z pozostawionej flaszeczki do ust, tak właśnie, jak to zrobił lekarz zaraz po przybyciu. Gdy się w końcu wszyscy razem z lekarzem oddalili, została Hania z niemym przyjacielem sama.

Po małej chwili przyszedł jeszcze raz lekarz z powrotem. „Kto Wy jesteście panienko, należycie może do rodziny pana Koszyny lub państwa Herdów? zapytał głosem stłumionym.

„Nie należę panie, ani do jednej ani do drugiej rodziny. Moja babcia prowadzi gospodarstwo domowe pana Koszyny, ja zaś jestem tutaj tylko chwilowo u niej.“

— „A więc to bardzo dobrze, Wam mogę powiedzieć całą prawdę. To znaczy że tutaj nie ma już zgoła żadnej nadziei, żeby młody ten człowiek został przy życiu. Jeżeli jednak żyć będzie, jest bardzo wątpliwe, czy kiedy będzie mógł mówić lub myśleć zdrowo, dla niego lepszą byłaby śmierć. Róbcie jednak wszystko, co Wam zleciłem dokładnie, według danych Wam wskazówek, będzie to dla obu panów, pana Koszyny i p. Herdy pociechą, że zrobili wszys-

tko, co tylko zrobić było można, Rano wróce tutaj z dwoma innymi lekarzami. Będzie to jednak i tak daremne, zrobimy to jednak dla uspokojenia obu panów. Mówię Wam to dlatego, żebyście przynajmniej wy nie stracili głowy, gdy ją wszyscy inni stracą."

Biedna dziewczyna. Któż opisze jej żalność, kto pojmie jej boleść. Siedziała u łoża młodzieńca i zmieniała okłady na tem pięknem czole, na którym nie miały się już snąć nigdy zrodzić żadne myśli zdrowe, nawet i wtedy nie, choćby i pozostał przy życiu. Zmieniała okłady na tem sercu, które tam w piersi niemal głośno biło, tak jakby chciało sobie drogę uratować z tej młodej piersi i pomóc duszy, żeby nie musiała w tem więzieniu pozostać, owszem aby wnieść się mogła do tego Boga, któremu należała.

Co chwila stawała jej przed oczyma rozpacz ojca i zwątpienie okropne pana Koszyny. „O Panie, Panie, dlaczegoś dopuścił do tego?” w głębi swej duszy wołała do Boga.

Dlaczego Panie, ach dlaczegoś nie poszczęścił, nie pobłogosławił wielkiego poświęcenia Koszyny? Pragnienie, cel które go do tego czynu szlachetnego spowodowały były o Panie takie dobre. Tyle się poświęcił a teraz jeszcze za winowajcę uważany będzie, ba on sam będzie to sobie do końca życia wytykał, że niby on sam nieszczęście to spowodował."

Wyobrażała sobie w duszy, jaka to radość napełniać musiała Koszynę w ostatnich tygodniach, gdy pełen wiary z upragnieniem wyczekiwał błogosławionego wyniku owej ofiary, swego poświęcenia. A teraz? O doprawdy, nigdy już nigdy nie zobaczą ludzie uśmiechu na poważnem obliczu tego szlachetnego męża. Zgaśnie on nazawsze wraz z tem oto życiem.

Dziewczynie było niesłychanie smutno, tak iż podeszła do okna, by je otworzyć, żeby pod naporem tego ściśnienia duszy się nie udławiła. Stanąwszy u okna podniosła swe oczy, które żadnej już łzy nie były uronić w stanie, ku niebu a z jej poblądłych warg następujące spłynęły słowa:

„Oczy moje podnoszę do Pana, skądby mi pomoc przyszła. Pomoc moja jest od Pana, który stworzył niebo i ziemię. Nie dopuści aby się zachwiać miała noga twoja, nie drzemieć stróż twój. Oto nie drzemie, ani nie śpi ten, który strzeże Izraela. Pan jest stróżem twoim, Pan jest cieniem po prawej ręce twojej. We dnie słońce nie uderzy na cię, ani miesiąc w nocy. Pan strzec cię będzie od wszystkiego złego, On duszy twojej strzec będzie.”

Po słowach tych chwileczkę pograżyła się w myślach, poczem rzekła znów jakby do siebie: „A ten Bóg niebieski, który ma dosyć mocy, by odwrócić mógł to nieszczęście, czy On miałby nie uczynić tego?!” Wyprostowała się dziewczyna, jak wichrem pochylone drzewo:

„Kto tak do mnie mówi, że On tutaj nie pomoże, że prośby mojej nie wysłucha, i że lekarz będzie miał słuszość? Może być, iż u ludzi ratunek jest niemożliwy, lecz nie jest niemożliwy u Niego. On który stworzył niebo i ziemię, który, który do życia powołał i jego, Andrzeja, On, który daje słuch i mowę i rozum człowiekowi i życie całemu światu, tak że w nim poruszamy się i jesteśmy, On i tutaj mocy swej dokáže i my napewno jeszcze mówić będziemy: Coś uczynił, to wszystko dla naszego dobra uczyniłś Panie!”

Wróciła Anna do chorego zmieniała okłady, a potem sama nie wiedząc nawet co robi, zaczęła, napelniona jakimś radosnem uczuciem śpiewać powyższy psalm. Gdy skończyła, ledwie serce nie stanęło w niej z przestachu: ciche „Amen” spłynęło z tych oto warg, których ona jeszcze do dziś mówić nie słyszała. Uroczyste „Amen” na jej modlitwę, było dowodem że nie tylko mowa, lecz i zdrowa myśl zostały młodzieńcowi uratowane. Chory rozumiał co dziewczyna śpiewała i w ten sposób wyraził na to swą zgodę. Oczy wprawdzie nie otworzył, lecz westchnął głęboko i sądząc z zmienionego obecnie oddechu, zasnął. Spiewem swoim, sama nawet o tem nie wiedząc, ukołysała go do snu.

Krótkie westchnienie wdzięczności uniosło się z serca jej ku niebu, ponieważ usta same nie miały dosyć słów, by wypowiedzieć mogły całą jej głębię. Potem cichuteńko opuś-

ciwszy pokój przeszła do drugiego. Ten był próżny. W kuchni krzątała się koło pieca upłakana babcia, której się w pośpiechu zapytała, gdzie są obydwaj panowie. Babcia posłała ją do młynnicy, Tam stali obaj rozmawiając o rzeczach, które w tej chwili żadnego z nich nie interesowały.

Gdy weszła, obydwaj się obejrzeni i obaj zbledli. Koszyna oparł się o skrzynię z mąką.

„Możeby panowie przyszli, popatrzeć się na Andrzeja, on zasnął,” rzekła do nich dziewczyna niepewnym ze wzruszenia głosem i zaraz do tego dodała: „Pan Jezus prośby mojej wysłuchał. Śpiewałam przy chorym psalm, a gdy go ukończyłam, wypowiedziały wargi jego Amen.” „Chodźcie, chodźcie, proszę panie!” rzekła zwracając się do ojca „Chodźcie podziękować Bogu za tą wielką łaskę! Mowa jest waszemu synowi przywrócona. Myśli jego nie są przyćmione, jak się tego pan lekarz obawiał, Jakkolwiek jest jeszcze wielkie niebezpieczeństwo, to ja jednak wierzę w żywego Chrystusa i ufam że On pomoże.”

Milczący, tem co słyszeli ogromnie wstrząśnięci, bez słowa, przeszli obaj za nią do pokoju, gdzie na własne oczy mogli się przekonać, że Andrzej śpi i że mu znacznie ulżyło.

Kłęczący u łóżka pan Herda ujął i uściskał tak mocno obie ręce Hani, że uścisk ten długo później odczuwała: „Ja nie umiem, nie jestem w stanie Boga prosić ni Jemu dziękować, dzie-

kujcie i proście Wy, proście dalej, żeby mi go dobry Bóg zachował przy życiu!„

I co więcej, Hania nawet uszom swoim wierzyć nie chciała, dosłyszała że jeszcze i z drugich warg spłynęły słowa naprawdę dla niej nieoczekiwane: „Tak Haneczko. dziękuj i proś!”

XV.

Nie byłby Koszyna nawet ani pomyślał ile kryje się w słowach jego prawdy, gdy jej powiedział: „Kto wie, może będziemy Cię jeszcze bardzo, bardzo potrzebowali.”

O jak bardzo! Dawno już były pieniądze żydówce do Pesztu odesłane. Koszyna sam napisał rodzicom dlaczego córki ich obecnie do Pesztu odejść nie może, i dodał że on tego darmo od nich wymagać nie będzie, że im to chętnie wynagrodzi, jeżeli oni mu ją tutaj tymczasem jeszcze pozostawią.

„Od tej dziewczyny zawisło życie naszego pacjenta,” oświadczył kilkakrotnie lekarz osobom otaczającym łoże chorego. „Ona ma w sobie w obfitej mierze dar prawdziwej pielęgniar-ki.”

Dwa tygodnie przeminęły, zanim się narzeczcie mógł ojciec synowi pokazać, i gdyby Hania sama nie była chwili tej przygotowała, napewno i ten moment nie byłby jeszcze prze-

szedł bez szkody. Ogromnie radzi byli wszyscy temu, że chory o owej chwili w lesie zupełnie zapomniał i jej sobie nie był w stanie przypomnieć. Uwierzył lekarzowi, który mu twierdził, że mowa została mu przywrócona w chorobie. Oj, i on nawet nie wiedział, jak ma za nią Bogu dziękować i chwalić Go. Taksamo uwierzył i ojcu, że on, ojciec powiadomiony o jego chorobie, przyszedł go odwiedzić. Bliższych szczegółów wcale się nie dowiadywał dlatego, ponieważ Hania mu mówiła: „Ja Wam Andrzej, wszystko opowiem, jak skoro tylko wrócić do zdrowia. Teraz gdy się już możemy łatwo z sobą rozmówić, rozmawiajmy najprzód o tych najważniejszych sprawach Bożych.”

Dziwnie byłby się pan Herda na Andrzeja popatrzył, gdyby ten był dawniej za dni zdrowia przyszedł do jego domu z takimi przekonaniem i słowami, jakie obecnie codzień z ust chorego słyszał — a jak chętnie ich słuchał! Szczęśliwy był że mu żyje i że nie jest więcej niemy i dla społeczeństwa stracony.

*
*
*

I znowu przyszło nowe niedzielne popołudnie, czwarte od owego, dla wszystkich mieszkańców młyna tak okropnego. Znowu znadawali się Andrzej i Hania Stefanówna w pośród prześlicznej rajskiej przyrody. Młodzian blady

jeszcze i słaby siedział na mchu, z oparłą na rękach głową. Dziewczyna czytała mu jakąś książkę. Nagle podniósł głowę i przerywając jej rzekł: „Bardzo Was przepraszam Haneczko, lecz jakoś nijak nie mogę z całą uwagą skupić się przytem, co czytacie. W myślach moich jawi się coś strasznego. Powinienbym sobie coś przypomnieć a nie mogę. Jestem już zdrów, Haneczko uwolnijcie mnie od tego ciężaru, który mi na myśli mej ciąży.”

Zbladła troszeczkę. „Dobrze. Wprzód się jednak króciutko pomodlmy.” I pomodlili się. Łatwo zrozumieć, dlaczego w modlitwie swojej użyła dziewczyna kilka podobnych słów, jak w ową pamiętną niedzielę tam pod skałami. Minęła już chwilka jak dziewczyna skończyła modlitwę, a młodzian jeszcze wciąż klęczał. Nagle zerwał się, wyskoczył ze słowami: „Haniu, Haniu, teraz już wszystko, wszystko sobie przypominam, już wiem wszystko! Prawda, tak to było: Szliśmy razem z góry, spotkaliśmy ojca i Koszynę, ja się w tej chwili obejrzałem, z poza jednego z drzew wychodził on, Edward, wydałem okrzyk a w tem okamgnieniu ściemniło mi się w oczach i ogarnęła mnie noc. Oj Haniu, Haneczko, czy jest to prawda? Był to rzeczywiście on, albo był to jego duch który mi się pokazał?”

„Uspokójcie się Andrzeju, przyrzekłam Wam że Wam w stosownej chwili wszystko

opowiem, więc opowiem Wam to chętnie teraz Usiądźcie sobie prosto, o, tu bliżej!"

Usłuchnął a dziewczyna zaczęła mu opowiadać wszystko, czego się od ojca jego dowiedziała. Opowiedziała mu jak długo trwała u Edwarda walka między śmiercią i życiem, jak później gdy wrócił do zdrowia się ożenił. Opowiadała później wszystko, czego się dowiedziała od Koszyny, dlaczego pozostawili go w niewiadomości o tem wszystkiem, mianowicie ponieważ spodziewali się w ten sposób przywrócić mu znowu utraconą mowę. Opowiedziała mu to wszystko w taki sposób, że pomimo iż odkrytą została mu już teraz cała prawda, żaden szkodliwy wstrząs nie wyniknął stąd dla niego,

„O ileż mi się to niezastężonej miłości od Boga i od ludzi dostało! Jak wielki to dług na moje całe dalsze życie! zawołał wreszcie młodzian, Dwaj ofiarowali się za mnie, Pan Jezus i Koszyna. Koszyna uratował mi życie cielesne, dopomógł mi do zdrowia, zmienił mnie na poważnie, pożytecznie myślącego i dla społeczeństwa ludzkiego żyć pragnącego człowieka, Chrystus Pan zaś darował mi życie duchowe, wieczne. Żadnemu z nich się nie wypłacę. O jak niewypowiedzianie jestem panu Koszynie wdzięczny, że pozostawił mnie w tem przekonaniu, że Edward został zglądzony ze świata moją ręką! Gdyby nie to, ja byłbym się uważał za męczennika, nie byłbym poznał swych grzechów i nie byłbym szukał zbawienia. Nic, zupełnie

nie niemam, czembym był w stanie odwdzięczyć się i Bogu i ludziom i Wam Hłaneczko, i Wam. Nie żałujcie nigdy, że musieliście pojsć na wygnanie. Świadomość że uratowaliście życie człowiekowi, który gdyby nie Wy byłby pewnie zginął, osłodzi Wam wszelką dalszą gorczyz, jakakolwiek by się Wam jeszcze kiedy w życiu dostała w udziale"

XVI.

Wyjmij choćby tylko jedno małe kółeczko z maszyny, a ona, albo natychmiast stanie, albo nie pójdzie już tak, jak szła poprzednio. To samo stanie się jeżeli z kółka rodzinnego weźmiesz dobrego, miłego człowieka, — Choć praca pójdzie tym samym jak i przedtem szła biegiem, przecie na każdym niemal kroku będzie można odczuć, iż go niema. Tak też było i w młynie zarzeckim, gdzie próżno byś się był oglądał za milem obliczem młodziana. Próżne było jego miejsce w młynie, próżne było w polu, próżne było u stołu, każdy wiedział, że on już tu nigdy i nigdy nie wróci. Odszedł nie taki, jakiego tu potąd znali i widywali. Błady był jeszcze bo prawie co po chorobie, ale już zupełnie inaczej niż przedtem wyglądał. W miejskim ubraniu wcale owego czeladnika młynarskiego nie przypominał, który tu pośród ludzi

żył, pracował i każdemu, komu tylko mógł czynił dobrze. Połowę wsi przyszło, by się z nim pożegnać.

I nietylko kobiety lecz i mężczyźni plakali, gdy po raz pierwszy z ust jego słowa usłyszeli, a do tego jeszcze jakie słowa. Opowiedział im krótko dzieje swego życia i Bożą łaskę jaka mu się dostała w udziale. Opowiedział wszystko co miynarz Koszyna dla niego uczynił. Później obdarował jeszcze wszystkich już to całym Pismem świętym, już też jego częściami lub innymi dobrami książkami. Chłopcom dał swe ubranie i obuwie, babci Sommerowej swój zegar ścienny zaś Ziemiańskiej dosyć dużą sumę pieniędzy dla jej sierot. Gdy wreszcie siadł z ojcem do powozu, cała gromada spracowanych rąk wyciągnęła się do niego na pożegnanie. „Z Bogiem Jędrusku! Z Bogiem!” Wiedzieli już że nie tak mu na imię, lecz miłszem im było jego dotychczasowe imię znane. Zresztą wszyscy, co o nim kiedyś w Zarzeczu wspominać będą, będą wspominać i mówić tylko o owym dobrym, niemyym Andrzeju, czeladniku Koszyny.

Koszyna odprowadzał obu panów do pościgu. Naturalnie że zabrali z sobą i Hanię. „Ach chodźcie, chodźcie jeszcze ze mną!” prosił obu Andrzej. „Ja poprostu nie pojmuje, jak ja żyć bez was potrafię. Jedno tylko zostaje mi na pociechę, mianowicie to, że zwolna ale stale zbliża się czas, gdy znów się zejdziemy,

zejdziemy na wieki, zejdziemy tam, gdzie już nigdy więcej żadnej rozłąki nie będzie."

To było wczoraj. Dziś młyn stał. Właściciela nie było w domu. Na górach leżały mgły, z nich mżył drobny deszcz a polaną mileząc kroczyli obok siebie pan Koszyna i Hania Stefanówna. Żaden nie maćił myśli drugiego. Dziewczyna znajdowała się w swych myślach na stacji, i przeżywała raz jeszcze tą wczorajszą chwilę, gdy to Andrzej obejmował Koszynę i dziękował mu jeszcze raz za wszystko. Później gdy i pan Herda wyciągnął do niego swoją prawicę i przeprosił go za krzywdę, kiedyś mu wyrządzoną, za krzywdę, którą mu Koszyna tak po chrześcijańsku odpłacił. Wreszcie dziękował i jej. Nie byłaby wcale o tem dziękowaniu myślała, gdyby jej nie był przytem powiedział tego, co ją bardzo ucieszyło: "Wiem" — powiedział — „że się będziecie modlić za mojego syna, módlcie się też przytem proszę zarazem i za mnie!"

Z Andrzejem sobie tylko w milczeniu ręce podali. W spojrzeniu młodziana było więcej i głębsza podzięka niż by ją jakiegokolwiek słowa wypowiedzieć były wstanie. Pozdrówcie mi Zarzeczce, młyn" wołał jeszcze Andrzej z pociągu a potem, — potem im go pociąg odniósł, odniósł może na zawsze, choć jednak nie na wieki. Nigdy więcej nie przyjdzie już do zarzeczkiego młyna za czeladnika, drogi ich życia rozdzieliły się na zawsze.

On nie przyjdzie, ale co zrobi teraz ten, który z powodu niego w tem zaciszu górskim się zagrzebał? Przy tem pytaniu, które jej w tej chwili na myśl się nasunęło, mimowoli spojrziała na kroczącego obok niej w milczeniu mężczyznę, i zrobiło się jej go żal, bardzo żal; żal że jest taki samotny, taki opuszczony. Andrzej mówił o nim, że nie ma nikogo. — Gdy teraz odszedł i ten, dla którego aż do tej chwili żył, — dla kogo będzie on żył teraz? Przecie pewnie ani on nie urodził się wiejskim młynarzem i nie był wychowany do takiego życia. Czy pozostanie on teraz tutaj, gdy Andrzej wrócił do swego zawodu? Jeżeli mieli Herda i Koszyna jednakie młyny nad Dunajem musieli mieć także i jednakie wykształcenie. Czy więc miałoby to jaki zmysł, żeby on tutaj pozostał?

Widocznie odczuł młynarz zwrok dziewczyny na siebie zwrócony, gdyż w tej chwili spojrział na nią:

„Czy chcielibyście może mnie o coś zapytać Haniu?”

Od czasu gdy goście byli w młynie, odzywał się do niej młynarz przez „Wy” co wydawało się jej zawsze jakieś obce i obce tak samo i w tej chwili.

— „Tak panie!” rzekła zmieszana. „Rozmyślam nad tem, co Wy teraz zrobicie, czy Wy i teraz pozostaniecie w Zarzeczu, gdy cel, dla

któregoście tutaj przyszli, został już osiągnięty?"

Przystanął młynarz i popatrzył się na pytającą.

— „O mnieś myślała?" rzekł zdziwiony „Tegom się naprawdę nie spodziewał.

— „Tak. Już całej ćwierć godziny myślę nad tem, że również i Wy nie jesteście w Zarzeczcu na swem miejscu."

— „Sądziś, że i ja jestem takim zaklętym królewiczem jak był Andrzej?" rzekł, uśmiechając się smutnie. „W tym wypadku się jednak mylisz. Ja nigdy niczem innym nie byłem tylko młynarzem."

— „I pan Herda także jest młynarzem." odpowiedziała nieśmiało,

— „Owszem. Można jednak było u nas zauważyć różnicę. Uważasz że jeżeli kiedyś nasze młyny ze sobą sąsiadowały, to i my byliśmy do siebie zupełnie podobni?"

— „Tak, panie,"

— „Otóż widzisz tak to nie było." Pan Herda ma fachowe wykształcenie, jest właścicielem młyna i utrzymuje sobie młynarza. Mnie mój ojciec nie dał dużego wykształcenia szkolnego, wykształcenie musiałem sobie sam zdobyć w wędrówce po świecie, Tego czego mi w domu nie dano, chciałem się dorobić sam i dorobiłem się. Później, przekonałem się, jak życie człowieka żadnej, ale to żadnej nie posiada

wartości, i jest bezcelowe n. jeżeli go w służbę Chrystusowi nie oddamy. I postanowiłem żyć życiem innym, do czego mi wkrótce dobra nadarzyła się sposobność.

Postawiłaś mi pytanie, czy tutaj zostanę w Zarzeczcu. Dokądbym miał iść? To że Andrzej odszedł, nie znaczy jeszcze że cel, o który mi chodzi, już został osiągnięty. Nie jest on osiągnięty dopóty, dopóki znajdować się tu będzie jeszcze choćby jeden człowiek, któryby potrzebować mógł mojej pomocy. Gdybym się wrócił do miejsc tych i do kół z których wyszedłem, musiałbym tam prowadzić życie, które dużo kosztuje i wszystkie me dochody na to musiałbym obrócić. W Zarzeczcu temi skromnemi środkami jakie posiadam, dużo mogę wykonać dobrego a na życie moje aż do jego kresu zawsze mi jeszcze wystarczy. — Lecz temu dajmy spokój. Haniu ja mam coś innego, co radbym ci powiedzieć. Słuchaj!

Będąc zupełnie zaprzętną troską o chorego Andrzeja, nie zauważyłaś, że byliśmy dwaj chorzy w młynie. Teraz jeden wyzdrowiał, a ten drugi musi umrzeć, jeżeli dla niego wkrótce jakaś nie znajdzie się pomoc." To powiedziawszy młynarz przystanął oparł się o drzewo, założył ręce i pogrążył się w myślach. Gdy przewyciężony wewnętrznem cierpieniem wreszcie usiadł, spojrzawszy w jego blade zapadłe policzki i usta, było można wywnioskować, że

w głębi duszy jakiś ciężki bój się toczy, oblicze jego było zupełnie zmienione.

„Co wam dolega panie, czemuście tacy smutni?” z niewysłowionem współczuciem spytała dziewczyna głęboko zasmuconego mężczyzny.

— Dziecko drogie, co mi dolega? Wiele bardzo wiele. W ostatnich tygodniach zrozumiałem, poznałem, że to przekonanie, które mi potąd sił dodawało jest błędnem ognikiem, który mnie i tych, którzy za mną szli na bagniska prowadzi. Ty miałaś słuszość, gdyś zeszłej zimy mówiła: „Nie powstałi Chrystus zmartwych, daremna jest wiara wasza.” Na takie chwile, jakie myśmy podczas choroby Andrzejowej przeżyli, umarły Chrystus wystarczyć nie może i nie wystarczy,

— „Tak, lecz Chrystus powstał zmartwych!” zawołała radośnie dziewczyna. Prawda, teraz już w to wierzycie, odczuwacie to, że Chrystus Pan żyje?”

— „Owszem już wierzę i pragnę, abym i ja go poznać i uznać mógł jako swojego Zbawiciela. Męczarnie duchowe jakie przeżyłem, i boje wewnętrzne, jakie przebojować musiałem pierwej, nim serce moje Bożemu poddało się Słowu, te zna jedynie sam Bóg. Ponieważ sam błądziłem, wprowadziłem w błąd i innych i gdyby ciebie tutaj nie było, cała wieś byłaby zarażona błędną nauką, nauką która nawet dla tej strony grobu nie wystarczy a na tamtą, to już

żadnej obietnicy, ani nadziei nie posiada. Świadekstwo Andrzejowe, jakie on wczoraj złożył obaliło wszystkie te nauki, które ja głosiłem w Zarzeczu. Oby je wszyscy przyjęli, zanim będzie im to tak trudno, zgola że za późno jak dla mnie. To chciałem ci powiedzieć. Teraz pójdziemy do domu."

— „Ach panie, żebyście tylko potrafili uwierzyć, że On żyje!” zawołała dziewczyna załamując ręce,

— „Owszem, uwierzyłem dziecko drogie, On sam mnie przekonał. I temu także uwierzyłem, że jestem biednym, grzesznym człowiekiem, a On że jest tym jedynym Zbawicielem, który umarł nie dla swojej nauki, lecz umarł za grzech mój i za grzech całego świata. Dla mnie jednak jest jeszcze dużo, ach dużo spraw i prawd niejasnych i długo to potrwa, nim się u mnie we wszystkim stanie zupełnie jasny dzień. Za długo błądziłem i zapatrzony byłem w noc niedowiarstwa. I teraz popatrz! Andrzej uzyskał już światło i poszedł, teraz odejdiesz i ty a ja, zostanę sam, bez jednej jedynej duszy, któraby mi pomogła przedrzeć się do prawdy, do światła."

— „O, panie Koszyna, jeżeli mnie sami nie pošlecie ja Was nie odejdę. Nie posyłajcie mnie ztąd, jeżeli Wam mogę w czem pomóc, bo inaczej Wy tutaj w samotności będziecie cierpieć a ja, — wspominając na Was — cierpieć będę również, gdziekolwiek się obrócę."

„Tak Haneczko, lecz ty nie możesz stale u nas pozostać, a jakkolwiek mi to trudno przyjdzie, to raz przecie muszę ci pozwolić odejść, a to czem prędzej tem lepiej, bo wyjdzie ci pozostaje jedno tylko w tej sprawie.”

— „A to byłoby?”

— „Żebyś się stała moją żoną. Lecz czy to możliwe? — Nie wiem. Ty masz dopiero lat dwadzieścia, ja natomiast już nad czterdzieści. Tyś młoda jak te kwiaty, które się jeszcze rozwijają, a ja już zwolna siwieję. Wiem, żeby ci u mnie źle nie było, bo my obaj doskonale się rozumiemy. Lecz jest tu inne pytanie: co serce Twoje na to odpowiedzieć w stanie?”

Gdyby obok dziewczyny grom zniecka był uderzył, bardziej by jej to nie było oszołomiło, niż te właśnie co wymówione słowa. Kozyna nie czekał odpowiedzi, w milczeniu kroczyli więc obok siebie dalej, aż wreszcie stanęli nad jazem, a przystanąwszy, jednocześnie spojrzeli po siebie. W oczach dziewczyny perliły się łzy.

„Haniu a więc cóż? Jeżeliś się stała dla tak wielu nosicielką światła, czy nie zechciałabyś być nią i dla mnie? Czy potrafiłabyś i zechciała dzielić się ze mną razem mojem wygnaniem i żyć razem ze mną Temu nie umarłemu, lecz żywemu Chrystusowi? Czy byłabyś w stanie i czy zechciałabyś włożyć Twoją rękę

w rękę moją? Nie jestem poprostu w stanie puścić Ciebie w ten zły, mroźny świat. Jeżeli możesz, proszę Cię pozostań z nami! Smutno, źle nam będzie bez Andrzeja; bez Ciebie jednak nieskończenie trudniej i smutniej by nam było, a jeżeli komu byłoby smutno, to przede wszystkim mnie. Jeżeli więc możesz zostań!"

Wyciągnął prawicę a mała rączka natychmiast bez wahania spoczęła w niej.

„Pozostanę, chętnie pozostanę jeżeli mnie potrzebujecie."

W tej samej chwili uderzyli we wsi w dzwony, jakąś radosną muzyką rozbrzmiał się śpiz, a zbliżające się ku zachodowi słońce, urowawszy sobie drogę pośród chmur, oświeciło złotym swem blaskiem dwoje nad jazem stojących ludzi, którzy się tak do siebie stosowali jak kwiat do drzewa. Kwiat uszczęśliwiać będzie drzewo swoim zapachem, drzewo zaś w zamian za to, będzie dla niego konieczną mu osłoną. Z dwu par oczu które tutaj na siebie spojrzwały, jaśniała siła i jaśniało światło, które razem wzięte, stanowiły wspaniałą, doskonałą całość.

KONIEC.

.....
.....

TL 4860 I

Drukarnia Ludowa, Skoczów.
